Gwarantowany nakład 5,000 egzemplarzy.

Nr. 40. — Poznań, niedziela, 2-go października 1898. — Rok III.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny
dla wszystkich stanów.
Z obszernym działem poświęconym sprawom handlu, przemysłu i rolnictwa.
Specyalny organ informacyjny dla Towarzystw i Spółek, mianowicie dla rolników, kupców i przemysłowców.

Przedpłata w Poznaniu **już z odnoszeniem** tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ul. Rycerskiej 38. Telefon Nr. 295.

Przedpłata **na pocztach tylko 1 markę** kwartalnie.

Nadesłane 50 fenygów od wiersza.

„Praca" zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Pojedyńczy numer „Pracy" nabyć można za 15 fen. z franko przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.

Kupujmy u swoich!

Kilka razy do roku, a zwłaszcza jesienną porą i krótko przed Gwiazdką, popowtarzają się u nas wizyty różnorodnych agentów i wojażerów firm niemieckich, wywożących w głąb swego »Vaterlandu« nasze w pocie czoła krwawo zapracowane pieniądze dla tego jedynie, że nie chcemy wyleczyć się w żaden sposób z trawiącej nas apatyi, krzywdząc z całą świadomością nasze swojskie wytwórstwo na korzyść żydowsko-niemieckiej tandety.

Najazdy agentów, po części żydziaków niewładających słówkiem po polsku, powtarzać się będą z dobrym zawsze dla nich skutkiem dotąd, dopókąd społeczeństwo nasze nie pozbędzie się brzydkiego nałogu hołdowania wszystkiemu co obce — jednej z kardynalnych wad, wyrosłej na gruncie fałszywego wstydu, a dobrego jakoby tonu.

Najlichszy wytwór tandety podnosimy do rozmiarów doskonałości, podniecając w innych żądzę posiadania przedmiotów cudzoziemskiej produkcyi. I choćby przedmioty te były w najgorszym gatunku, bez gustu i elegancyi, muszą być dobre i piękne, jako pochodzące z Berlina lub Wrocławia. Tego rodzaju wychwalanie ostęplowanej żydowsko-niemieckiej tandety słyszymy dość często, bo i to w dobrym tonie ubierać się i meblować po zagranicą naszego już tak upośledzonego Księztwa, a przytem wszystko takie tanie, tak bajecznie tanie...

Lecz na tej pozornej taniości wielu już się sromotnie złapało, szkoda tylko, że ku przestrodze innych niewielu posiada odwagę przyznania się do tego, w jak sprytny sposób pada ofiarą »żydowsko-niemieckiego wyzysku... »polska« klientela!

»Kupujmy u swoich!« powinno być naszem hasłem, ale nie hasłem w wyobraźni, jeno w czynie. Gdy zamiast cudzoziemskiego będziemy popierali przemysł nasz rodzinny, damy mu tem samem podstawy trwałej egzystencyi i możność doskonalenia się, zagrożoną zaś placówkę oczyścimy z naleciałości i inwazyi, uwalniając ją nadewszystko od niepożądanych wizyt kolporterów germanizmu.

Weźmy n. p. naszych szewców — toć niema chyba szewca nad szewca Polaka, a jednak ciągniemy do żydowskiego magazynu, płacąc dobrze za marną tandetę i to gotówką. Tę samą krzywdę wyrządzamy i naszym krawcom i t. d., choć i tu gustowne wykonanie oraz towar rzetelny wcale mierzyć się nie może z lichą żydowską upinką,

Wreszcie gdy zrobimy jakie zakupno u naszego, to już po większej części na kredyt i niepamiętamy wcale o uiszczeniu się. Biedny rzemieślnik wyczekuje więc z świętą cierpliwością tygodnie, miesiące, ba nawet lata całe za uregulowaniem rachunku, lecz biada mu, gdy się odważy wreszcie zaskarzyć. Natenczas obraza — »lichy towar, lepiej iść do żyda lub Niemca« i tem podobne, a wcale nieusprawiedliwione utyskiwania.

To przywary naszego społeczeństwa, z których koniecznie winniśmy się wyleczyć: inaczej przemysł nasz rodzinny zawsze kuleć będzie

Więc... kupujmy u swoich i płaćmy gotówką!

P.

Duchowieństwo polskie.

Na widnokręgu naszym coraz czarniejsze gromadzą się chmury. Sprzysięgła się złość ludzka, aby nas zgnębić i wytracić i coraz to nowe obmyśla środki i sposoby na zgubę naszą. I rzeczywiście powiedzieć dziś można o nas: „Za wiele złego na jednego!" Jakżeż bowiem słabemi i wątłemi są na pozór nasze siły wobec potęgi wrogich nam żywiołów! Ziemia matka usuwa nam się z rąk, szeregi starszej braci rzednieją, mieszczaństwo dopiero się wyrabia i dojrzewa, a strasznie trudna, niemiłosierna i nielitościwa walka o byt ogromnie utrudnia mu rozwój i w wielu okolicach już szerokie masy ludności, nasz zacny, wierny i wytrwały lud, nie ma świeckich przewodników. Bóg Wszechmocny jednakże nie pozwala nam pogrążać się w zwątpieniu i rozpaczy a tem mniej upaść pod naciskiem srogich przeciwności. Bóg czuwa nad nieszczęśliwym ludem swoim, Bóg dał mu przywódzców, którzy śmiało a rozważnie, dzielnie i ochotnie przeprowadzą go i przez dzisiejszą ogniową próbę, jak przeprowadzili go już przez tyle innych, — dał nam przywódzców w sługach swoich — K a p ł a n a c h. Tam, gdzie już zabrakło szlachty i ziemian, gdzie mieszczaństwo jeszcze za słabe, ażeby

mogło ująć w dłonie swoje kierownictwo sprawami publicznemi, tam lud cały garnie się z nadzieją i ufnością pod przywództwo duchowieństwa, a duchowieństwo z poświęceniem i zaparciem własnych interesów podejmuje się trudnego zadania i spełnia je z niezmiernym dla sprawy naszej pożytkiem.

Ale nietylko tam, gdzie braknie świeckich przywódzców, nietylko na najbardziej zagrożonych wyłomach, ale wszędzie, gdzie dobro społeczeństwa naszego wymaga tego, w każdej instytucyi, w każdej potrzebie widzimy kapłanów między najpierwszymi, a wszędzie służą nam radą światłą i świetnym przykładem dobrego pojmowania i należytego spełniania obowiązków społeczno-narodowych.

Wiedzą o tem dobrze wrogowie nasi, to też na duchowieństwo nasze wylewają największą miarę złości i jadu. Patrzy na to świat cały i dziwi się, a jeszcze bardziej zapewne się dziwi, że i w polskiem naszem społeczeństwie znaleźli się ludzie, którzy wydali hasło: Precz z księżmi z publicznego życia, księża do Kościoła!

Smutne, bolesne i bezecne to hasło i tak przeciwne tradycyi, duchowi narodu, i dobru ogółu naszego, że rzeczywiście w głowę zachodzić można. z czego się zrodziło, a jeszcze bardziej, że znalazło oddźwięk w niewielkiej wprawdzie, ale mimo to aż nadto znacznej cząstce współbraci. Pocieszać się jedynie można nadzieją, że ten prąd złowrogi, — to tylko chwilowe oszołomienie, jakiś obłęd nienaturalny, który rychło ustąpi miejsca rozwadze i opamiętaniu.

Społeczeństwo polskie w dzielnicy naszej dumnem być może z duchowieństwa swego, a powinno Bogu dziękować na kolanach, że właśnie w najcięższych przejściach, w najokropniejszych chwilach, w najsroższej walce o przyszłość, ba o byt nawet, takich dał mu pasterzy. Strach rzeczywiście pomyśleć, coby się działo, coby się stało z nami, gdyby kapłani nasi zastosowali się do owego nieszczęsnego hasła i ograniczali się jedynie na pracy w Kościele, gdyby także nie spełniali swych obywatelskich obowiązków!

Tym, którzy zechcą może zarzucić nam przesadę, zwrócimy z góry uwagę na ścisłą, nierozerwalną dziś niemal łączność, jaka się u nas wytworzyła między narodem a Kościołem, między narodowością a wiarą. Stworzyły ją długie wieki walk i bojów chrobrych. w których Ojczyzna nasza była przedmurzem chrześciaństwa, a umocniły jeszcze bardziej chwile upadku i niedoli. Gdyśmy ulegli przemocy, gdy wszyscy się od nas odwrócili, gdy zdawało się, że już wszystko dla nas stracone, że skazani jesteśmy na zagładę gdy słabła już i ufność w własne siły, wówczas szukaliśmy nadziei i otuchy w **K o ś c i e l e**, w gorącej modlitwie do Boga. A tam znaleźliśmy jej tyle, że wracała nam wiara, mnożyły się siły i zasoby ducha i szliśmy w bój na nowo z męztwem, które zjednało nam podziw całego świata. Któż atoli uprzystępniał nam tę pociechę, czerpaną w Kościołach, jeźli nie *duchowieństwo polskie?* Jak nić złota, łącząca przyszłość z przeszłością, ciągnie się w dziejach naszych długi szereg kapłanów-patryotów, którzy tak znakomicie umieli łączyć swe religijne posłannictwo z obowiązkami względem narodu i jego narodowego istnienia, iż w społeczeństwie naszem wiara i narodowość stały się niemal identycznemi pojęciami. Naród był zawsze katolickim, a Kościół narodowym, a jak dobrze można połączyć jedno z drugiem, na to dowodem zaszczytne słowa uznania, jakie kilkakrotnie słyszeliśmy z ust Namiestników Chrystusowych. „Na co wam relikwie — powiedział do nas Ojciec św. — weźcie grudkę ziemi waszej, a będzie dla was relikwią, gdyż przesiąknięta jest krwią męczeńską obrońców wiary“ — a panujący nam obecnie Papież wyrzekł pamiętne słowa: „Polonia semper fidelis“ — „Polska zawsze wierna!“ Ale też Kościół w Polsce nigdy nie był wrogiem narodowych naszych interesów, a dążności nasze narodowe zawsze były zgodne z dążnościami Kościoła. Stan duchowny w Polsce był najpierwszym stanem a Prymas polski zastępcą monarchy. Kapłanom zawdzięczamy spisanie dziejów ojczystych, które przekazały nam pamięć świetnych czynów przodków naszych i obudziły w nas *poczucie godności narodowej*, tak niezbędne właśnie w krytycznych chwilach; z ust kapłanów płynęły słowa napomnienia i przestrogi, gdy naród zaczął tonąć w lekkomyślności i nierządzie. Kapłani z krzyżem w ręku szli na czele hufców, walczących o niepodległość. Kapłani przewodzili i przewodzą nam dzisiaj w wszelkiej pokojowej pracy.

Żaden zapewno stan nie zapisał się w historyi naszej tylu świetnemi nazwiskami, jak właśnie stan duchowny. Pominąwszy już tych, których kościół zaliczył w poczet Świętych i Błogosławionych dość wspomnieć Długosza, Kopernika, Grzegorza z Sanoka, Skargę, Hozyusza, Kopczyńskiego, Staszyca, Naruszewicza, ks. Marka, Felińskiego — aby wykazać że duchowieństwo polskie przez wszystkie wieki w wszelkich warunkach i sprawach najwybitniejszą odgrywa rolę. Kapłan polski był zawsze nie tylko kapłanem, ale i obywatelem i tej to okoliczności zawdzięczamy, że w żadnym chyba narodzie nie zrosło się duchowieństwo ze społeczeństwem tak, jak właśnie w narodzie polskim, że nigdzie nie wywierało na sprawy publiczne tak wybitnego a przytem z natury rzeczy tak zbawiennego wpływu, jak u nas.

A tradycyą tej świętej przeszłości podtrzymało w Polsce w najwyższej mierze duchowieństwo polskie w naszej dzielnicy, co uznaje dziś bez wszelkich zastrzeżeń **c a ł a P o l s k a**. Kapłani stali się u nas filarami zdrowego odrodzenia. Im to zawdzięczyć należy, że dzieje naszej dzielnicy nie wykazują ani jawnej karty smutnych wstrząśnień społecznych, jakich niestety niebraknie w dziejach innych dzielnic. Łączność wszystkich innych stanów dla wspólnego dobra, prawdziwe braterstwo, nie wymuszone rewolucyą i gwałtami, ale dobrowolne, rzeczowe, prawdziwie narodowe i prawdziwie religijne, oto ich dzieło. Kapłani polscy stali się łącznikami pomiędzy poszczególnemi warstwami, oni to stworzyli ze społeczeństwa naszego falangę jednolitą, zbitą, na której skruszenie i siły milionów za słabe. Oni ofiarnością bez granic zasilali i zasilają po dziś dzień wszelkie nasze ogniska wiedzy, nauki i pracy, oni to strzegą lud nasz od moralnego zwyrodnienia, od przejęcia się powietrzem społecznej zarazy naszego wieku. Czyż to dumni być nie możemy, że podczas gdy we wszystkich innych dzielnicach i krajach liczba zwolenników przewrotu wzrasta z każdym rokiem, popełniając najhaniebniejsze wybryki i zbrodnie, — u nas ograniczają się do ledwie dostrzegalnego ułamku ludności, który nawet, zamiast według ludzkiego przypuszczenia wzrastać, — maleje? Oni to głosząc słowem i przykładem cnoty chrześciańskie, zaszczepili w najszerszych kołach społeczeństwa naszego owo silne potężne poczucie narodowe, o które, jak o tarcz stalową odbijają się bez skutku wszelkie pociski wrogów.

Takich owoców wspaniałych nie byłaby wydała praca duchowieństwa, gdyby była ograniczała jedynie na mocy kościoła. Religia sama, jeżeli tylko graniczy się na kościele, nie zdoła ochronić ludów od zboczeń. Trzeba je wnosić **w ż y c i e** do wszelkich małych i wielkich spraw naro-

du, trzeba ograniającym i uszlachetniającym jej duchem przenikać do głębi całego narodowego jestestwa a wtedy stanie się czynnikiem, który olbrzymią siłą wleje w serca najnieszczęśliwszych, nawet najbardziej prześladowanych narodów. Tak pojmowało posłannictwo nasze duchowieństwo, tak postępowało i postępuje, a więc jemu zawdzięczamy dziś w pierwszej linii, że posiadamy tę siłę olbrzymią która dozwala nam nawet w najkrytyczniejszej chwili odważnie i z nadzieją spoglądać w przyszłość.

Duchowieństwo nasze składa się z przedstawicieli wszystkich warstw narodu, więc też zna dobrze wszystkie nasze potrzeby, a jak się stara im zaradzić, o tem świadczy najlepiej najwymowniej .... właśnie oskarżenie wrogów naszych. Toć w drodze do zupełnego przytłumienia nas zawadza im na pierwszym miejscu... kapłan polski — a już wskazówka dla nas najlepsza że kapłan musi być... *najlepszym stróżem narodowego i społecznego dobra naszego.*

To też umieszczając dziś wizerunki tych kapłanów, którzy niedawno obchodzili dwudziestopięcioletni jubileusz swego posłannictwa — nie będziemy się rozwodzili o zasługach każdego z nich osobno. Wszyscy bowiem spełniają z równem poświęceniem swe obowiązki *nie tylko w kościele ale i po za kościołami.* Skorzystaliśmy jedynie z sposobności, ażeby podnieść ogólne znaczenie duchowieństwa dla społeczeństwa naszego i skromny ten liść dorzucić do olbrzymiego wieńca zasługi i chwały, jaki należy się kapłanom naszym. Niechże się nie zrażają przeciwnościami niechże i nadal przywodzą nam w sprawach publicznych a społeczeństwo nasze serdeczną wdzięcznością i miłością wynagrodzi im ciernie, — których tak pełno w życiu duchowieństwa polskiego. Cześć mu i chwała!! Z.

Upadek — i przyszłość Polski.

Znany historyk nasz Tadeusz Korzon wydał znakomite dzieło p. t. „Dzieje wewnętrzne Polski za Stanisława Augusta.“ Dzieło to w pierwszem wydaniu zostało rozchwytane w ciągu kilku miesięcy, pomimo dość znacznej ceny księgarskiej. Obecnie wyszło w Warszawie wydanie drugie, a we Lwowie, w formie broszury o 48 stronach ukazało się „Zamknięcie Dziejów wewn. Polski za czasów Stanisława Augusta“.*) „Zamknięcie“ zawiera niejako ostateczne wyniki badań Korzona, ujęte w zwięzłą, treściwą formę poglądu na ludzi i warunki epoki upadku Polski. Broszura ta jest tak pełną ognia i życia, zawiera zaś tak mało balastu naukowego, że prawie niepodobna wierzyć, iż pisała ją ta sama ręka, która kreśliła ściśle naukowe, źródłowe badania z tej samej epoki. Szczęśliwym jest uczony, który stanąwszy u kresu długiej i mozolnej pracy, zachował w sobie z głębi serca płynący młodzieńczy ogień, który w kilku, kilkunastu słowach wymownych oświetla niejako całą z takim mozołem przebytą drogę badań naukowych. Lecz stokroć szczęśliwszy ten, kto tak, jak Korzon, z bezwzględną bezstronnością i spokojem sędziego osądził swój własny naród, zajrzał w tę część przeszłości naszej, która jak najobfitszą w pomniki bohaterstwa i w pomniki hańby — i po wydaniu sądu nie zwątpił o przyszłości narodu, lecz oparty na rozumie mógł wygłosić słowa nadziei, zamiast słów potępienia. U nas, przeciętnych ludzi, wiara w przyszłość naszej ojczyzny płynie z serca: ono to nam mówi, że wątpić nie trzeba, choćby niewiem jakie burze szalały nad głowami; ono to, niewiedzieć jakiemi drogi zdobytą udziela nam pewność, że nasza sprawa jest dobrą i czystą Jakże więc pokrzepiająco działać musi na serce, gdy uczony, który zapuszczając się rozumem w przyczyny naszego upadku, z bezstronnością sędziego ważąc nasze winy i naszą karę, wyda wreszcie wyrok: Nieszczęśliwi, ale nie shańbieni!

Tak jest: Nieszczęśliwi, ale nie shańbieni wyszliśmy z tego ważnego momentu dziejowego, który przypieczętował upadek Polski! — taki wyrok bezstronny wyłania się z badań Korzona. Nie miejsce tu wdawać się w ocenę tego dzieła. Zadanie nasze będzie w zupełności skończone, gdy z tej skarbnicy gorącej i m ą d r e j miłości ojczyzny zaczerpniemy pogląd na przyczyny upadku naszego narodu i podamy go dalej, między lud nasz, aby wiedział, że to, co serce każdemu mówi, to potwierdza rozum.

Podamy najpierw twardy, ostry sąd Korzona o Polsce z epoki jej upadku, — o tej samej Polsce, która kilka wieków wcześniej zaliczała się do najucywilizowańszych państw w Europie. „Słynni historycy Prus i Austryi — pisze Korzon — jeśli chcą uwydatnić (ówczesną) różnicę pomiędzy swymi krajami a (ówczesną) Polską, stosują do tej ostatniej wyraz: „B a r b a r e n d e s O s t e n s“. Jakkolwiek twardo brzmi w uchu naszem wyraz taki, niepodobna przecież sformułować przeciwko niemu żadnej zasadnej protestacyi, skoro postawimy Polaka owoczesnego do egzaminu z wiedzy ludów cywilizowanych.

„Nadaremniebyśmy przekonywali cudzoziemców, że Polska posiadała wtedy mnóstwo szkół i dwa uniwersytety; zażądaliby oni od nas wykazów postępów naukowych, owoców wychowania a wtedy musielibyśmy wyznać, że w tłumie, rządzącym Rzecząpospolitą, niemasz ani jednego człowieka, któryby znał stosunki zagraniczne lub stan kraju własnego, ani jednego finansisty, dla kierowania umiejętnego komisyami skarbowemi, ani jednego oficera, uzdolnionego choćby do zastosowania regulaminu pruskiego w przechowanych szczątkach wojska polskiego.

„Gdy zaś powiedziemy okiem po masie plebejuszowskiej, po rozpiłych mieszczanach, po tłumie wynędzniałych chłopów, — zaprawdę trudno będzie obronić Polskę owoczesną od zarzutu barbarzyństwa.

Jest w niej nawet coś gorszego od barbarzyństwa. Ludy barbarzyńskie posiadają zwykle świeżość umysłu i nieuszkodzoną, prostaczą, naturalną siłę woli, gdy tymczasem panująca nad Polską szlachta była synem marnotrawnym niegdyś bohaterskiego rycerstwa, mądrych, światłych, kochanych na świecie naddziadów. Zniweczyła ona w próżniactwie wszystkie urządzenia państwowe: urząd stał się dla niej tytułem bez pracy, mundur — strojem fantazyjnym bez służby, dobra narodowe — chlebem branym bez zasługi, dobra ziemskie — nietykalną dla rządu śpiżarnią prywatną, poddani chłopi — niewolnikami, którym nawet „wolny bęben“ werbowników nie powinien był przypominać istnienia czegoś po za miedzą wioski, ponad władzą pana dziedzica, ojczyzna — łonem do spania, a życie — pasmem uczt, o ile być może, najobfitszych w jedzenie i wina. Trud i znój dla dobra kraju, ofiarność dla ocalenia narodu znikły nietylko w czynach, ale nawet w pojęciach. Wśród katastrofy pierwszego rozbioru pewien szlachcic wojskowy zapisuje w tonie spokojnym oburzające spostrzeżenie: „jeszczem żadnego nie słyszał, aby się oświadczył krew lać i substancyę trapić... zgoła najwięcej usłyszeć można jednomyślnej konkluzyi, że lepiej zostawać w wiecznej submisyi, niż w kilkoletniej wojnie“. Więc wśród

*) Lwów 1899. (Poznań, Księgarnia A. Cybulskiego).

narodów europejskich, myślących, pracujących, bojujących, znoszących setki milionów do skarbu państwowego, wysyłających setki tysięcy wojowników na pobojowiska, Polska nie posiadała narodu ani polskiego, ani nawet szlacheckiego, liczyła około 11 milionów organizmów dwurękich, nie mających wyobrażenia o Rzeczypospolitej, i około pół milona inteligencyi, dotkniętej trupim rozkładem! Od chwili, kiedy sąsiedzi potrafili określić na szalach równowagi politycznej dogodną dla każdego część łupu, upadek Rzeczypospolitej stał się faktem nieodwołalnym i niewątpliwym".

Nastąpił pierwszy rozbiór Polski. Ten straszny cios, rzec można, otrzeźwił społeczeństwo i doprowadził je do przytomności. Zaczęło się wołanie: Reformy! — i ten kraj znękany nierządem i ten lud w porównaniu z innymi barbarzyński, nagle się cywilizuje, nagle spieszy na ratunek zagrożonej swej niepodległości, nagle odzyskuje moc ducha i odwagę i stałość charakteru... Podobnego przykładu nie znają dzieje całego świata. W ciągu lat piętnastu może — mówi Korzon:

„dokonało się zadziwiające przeobrażenie, przebudowanie, prawie przetworzenie Polski. Jest to twierdzenie stanowczo dla nauki nabyte, bo udowodnione rachunkiem, szeregami liczb, wydobytych ze wszystkich sfer działalności materyalnej, tudzież zupełną, bezwyjątkową zgodnością różnorodnych objawów działalności intelektualnej, objawów tak licznych, żeśmy znaczną onych ilość musieli zostawić w notatkach niezużytkowanych dla uniknienia powtarzań. Z dawnej, odwiecznej budowy narodowej pozostały jednak nietkniętemi jej kamienie węgielnie: poszanowanie osoby, własności, wolności obywatelskiej, obyczaje samorządu i miano Rzeczypospolitej".

Lecz im bardziej dźwigał się nasz naród z niedoli i upadku, im więcej dawał dowodów owej cywilizacyi, wyrwanej z uśpienia, tem większą była obawa rabusiów, że im umknie upątrzona zdobycz. Wtedy wszystko się spiknęło na to, aby Polskę zgnębić i rozbić. Wszystkie warunki złożyły się na jej zgubę, a żadnych przyjaznych okoliczności nie było. Tylu okropnych warunków, pisze Korzon,

„nie znajdziemy zapewne w żadnej z zapisanych w historyi powszechnej walk o niepodległość. Grecy, wojując z Persami w V wieku przed Chrystusem, mieli po swojej stronie wyborne położenie geograficzne i wyższość uzbrojenia; Holendrzy, walcząc 40 lat z królami hiszpańskimi, mieli schronienie na morzu, sto kilkadziesiąt mil odległości od Madrytu i pomoc wszystkich sąsiadów (hugonotów francuskich, protestantów niemieckich, królowej angielskiej); Stany Zjednoczone Ameryki były przedzielone od Anglii oceanem i otrzymały potężne poparcie w pieniądzach, flocie, wojskach ludowych od króla francuskiego. Polsce nikt nie dopomógł, a najbliżsi potężni sąsiedzi spiknęli się na nią".

„Suma tych wszystkich przeciwności i warunków jest tak groźna, że zwalczenie jej w r. 1792 przedstawia się oczom naszym jako niemożebność, przegrana Polaków, jako tragiczna konieczność".

Poczucie niezasłużonej hańby drugiego rozbioru było powszechne, dojmujące. Rozpacz miotała sercami, przepalała mózgi. Z wiosną r. 1794 wezwany z zagranicy przez organizatorów sprzysiężenia Kościuszko podniósł sztandar powstania. Okoliczności były nieskończenie straszniejsze niż przed dwoma laty. Stawało wprawdzie przeciwko nieprzyjacielowi aż 150,000 ludzi, ale bez dostatecznego uzbrojenia i wyćwiczenia; wyniszczony naród złożył w ciągu 7-miu miesięcy z górą 25 mil. złp., ale koniom brakło furażu, wojsku odzieży, stolicy zagrażało ogłodzenie, armie trzech mocarstw obsaczały każdy korpus powstańczy, przechodziły i pustoszyły kraj w różnych kierunkach; nie było podstawy operacyjnej, nie było ani jednego bezpiecznego zakątka. Największe bohaterstwo nie mogło zdobyć zwycięstwa. Ale wśród rumowisk i spustoszenia, potokami krwi, przelanej na pobojowiskach, Polska odzyskała najcenniejszy skarb moralny: cześć narodową. Jeśli w r. 1772 świat mógł słusznie powiedzieć, że swego upadku Polacy sami byli winni, to po rzezi Praskiej, każdy, co nosił w sercu poczucie sprawiedliwości, musiał powiedzieć o zwyciężonych: Nieszczęśliwi!"

Kościuszko, uwięziony po klęsce maciejowickiej, powiedział do cesarza Pawła I: Polska upadła właśnie wtedy, gdy do rządnej wolności przychodzić zaczynała i gdy okazała najwięcej patryotyzmu i energii.

„Rzetelność tego świadectwa i trafność tego poglądu stwierdza się sądami sumienia wszystkich ludów cywilizowanych, o ile sądy ich nie są zamącone rozgwarem interesów materyalnych; stwierdza się też niezwykłem w dziejach zjawiskiem, że z *loch*ów *niewoli, w których wszystkie strony natury ludzkiej targano na torturach, w których żadne prawo Boże uszanowanem nie było. wśród udręczeń ciała i ducha, jakich wieszczy Skarga przeczuć nie zdołał, jakich nie zna historya powszechna od epoki Faraonów egipskich, zdobywców assyryjskich i najstraszniejszych cezarów rzymskich: Polacy w XIX wieku ukazywali się czynnymi na wszystkich polach wśród narodów żywych wołali i wołają:*

Jesteśmy!

Pokój waszemu domowi!!

(Wiersz do illustracyi.)

Pokój domowi!.. To Boże słowo
Niech wśród nas zabrzmi teraz na nowo,
Niech nasze domy od burz ochroni,
I nasze chaty polskie osłoni
Od nieszczęść wszelkich, od złości wrogów,
Niech zjedna szczęście dla naszych progów
I widmo nędzy — głodu — niezgody
Niech tak zaniknie jak z wiosną lody...
Bo pokój w domu — to łaska Boga.
To cicha szczęścia — bezchmurna droga,
Bo pokój w domu — to życie czyste
Od blasków cnoty, aż promieniste —
Bo pokój w domu — to życie nieba...
A o to bracie starać się trzeba.

Pokój domowi!.. To wielkie hasło
Zda się w Ojczyźnie naszej zagasło,
Bo nie ma u nas — ciszy — pokoju,
Gdy pełno jęku, bolów i znoju...
Gdy nam ojczyste skarby zabrano,
Zagon rodzinny w kęs pokrajano.
Kiedy nam w własnej ojców zagrodzie
Żyć każą w nędzy — tułactwie — głodzie,
I chcą nam wydrzeć z serca głębiny
Wiarę i mowę — ten skarb jedyny...
Więc my wytężmy siły i dłonie,
Wiarą, miłością rozpalmy skronie —
Stańmy jak murem ku wspólnej pracy...
Wytrwali, mężni — dzielni Polacy
I dom nasz wielki — obdarzmy ciszą,
Cnotą jedności — wtedy usłyszą
Sąsiednie ludy, to Boże słowo
Brzmieć będzie w Polsce znowu na nowo,
Pokój domowi... Polskiej krainie!
Pokój słowiańskiej wielkiej rodzinie!

Jadwiga Strokowa.



Pokój Waszemu Domowi!

Z TYGODNIA.

Już wspominaliśmy tydzień temu o publikacyach powiernika Bismarcka, niejakiego dr. Buscha, które ukazały się w Londynie. Publikacye te polegające na autentycznych szczegółach mocno obniżyły wartość moralną zmarłego kanclerza w oczach tych wszystkich, którzy w nią ślepo wierzyli. Busch wykazuje, że Bismarck nie pytał się nigdy o słuszność w wojnach, lecz kierował się wyłącznie interesami swej polityki. Tak więc wszczął z Austryą wojnę w r. 1866, wojnę, która kosztowała tysiące ofiar ludzkich — a wszczął ją tylko dlatego, aby zmusić Austryę do ustąpienia przodownictwa Prusom w obrębie Rzeszy niemieckiej. Gdy zaś Austrya, przewidując zły obrót rzeczy, potajemnie weszła w porozumienie z Bismarckiem, wtedy kanclerz „żelazny“ zaproponował cesarzowi Franciszkowi Józefowi następującą szacherkę: kroki wojenne ze strony Prusaków zostaną zawieszone, Austrya jednak wojskami swemi dopomoże Prusom do wykonania napadu na Francyą, przyczem zrabowanemi z Francyi prowincyami podzielą się Prusy z Austryą. Lecz na ten rabunek nie przystał z rozmaitych powodów cesarz Franciszek Józef. odpokutować to też musiał klęską pod Sadową. Publikacye Buscha dowodzą, że prasa nasza, niedawno w swej ocenie Bismarcka nie myliła się wcale, zarzucając mu cynizm i brak moralnych podstaw postępowania.

Z okazyi nadchodzących wyborów niemieckie stronnictwa już ogłosiły programy wyborcze. Wszystkie te programy zapowiadają poważną walkę przeciw junkierstwu i agraryuszom pruskim, przeciw gospodarce konserwatystów i prawom wyjątkowym. Ma się rozumieć tylko konserwatyści wzywają do uchwalenia praw wyjątkowych przeciw socyalistom i przeciw Polakom. Podobneż żądania, specyalnie co do walki przeciw Polakom zawiera odezwa wyborcza nacyonalno-liberalnej partyi. Wyraża ona mianowicie nadzieję, że rząd wytrwa w swej polityce przeciw Polakom. Na to powinnoby społeczeństwo nasze czynem odpowiedzieć, że wytrwa w swej pracy nad zachowaniem ducha polskiego i polskiego języka.

Zamordowanie cesarzowej austryackiej doprowadzi, jak się zdaje, do porozumienia się mocarstw w sprawie ścigania anarchistów. Niebawem ma się odbyć konferencya międzynarodowa, na której sprawa ta będzie szczegółowo omówiona.

Prasa niemiecka zachwyca się mową cesarza Wilhelma wypowiedzianą niedawno w Szczecinie z okazyi budowy szczecińskiego portu. Cesarz powiedział mianowicie, że zdaniem jego „na wodzie spoczywa przyszłość Niemiec.“ Z tego powodu zapowiadają Niemcy ogromną akcyę, zmierzającą ku powiększeniu handlu eksportowego. Inne zaś przewidują nowe powiększenie floty wojennej. Życzyćby tylko należało Niemcom, aby ich przyszłość w wodę nie „wpadła.“

Na polu polityki wewnętrznej nie zapowiada się zbyt wiele. Zapowiedzianą jest — również w mowie cesarskiej — ustawa przeciw strejkom, choć znów teraz zapewniają, że wypracowanie odnośnego projektu nie nastąpi tak prędko.

We Francyi wszystko wre na nowo. Lada dzień przewidywany jest zamach stanu. Generałowie gospodarują na własną rękę opierając się władzy cywilnej. Tak więc pomimo starań ministra sprawiedliwości wsadzono do więzienia Picquardt'a, oficera, który jest nie na rękę władzom wojskowym, ponieważ posiada dowody ich fałszerstw. Pod naciskiem też jenerałów komisya rewizyjna, której poruczono rozważenie sprawy Dreyfussa, oświadczyła się przeciw rewizyi, a właściwie stanęła w niezdecydowaniu, trzema głosami przeciw trzem. W tych warunkach rząd zdecydował się wreszcie na własną rękę zarządzić rewizyę.

Poważne zajścia odbyły się w Chinach. Cesarz, który jest usposobiony przyjaźnie dla europejskiej cywilizacyi został zrzucony z tronu a władzę objęła jego matka. Regentka jest zwolenniczką Rosyi, cesarz zaś był życzliwie usposobiony ku Anglii, z tego też powodu ta zmiana oznacza zwycięstwo rosyjskiej polityki nad angielską. Na wieści otrzymane z Pekinu Anglicy wysłali eskadrę wojenną, która zdaje się wiezie bardzo wojownicze... zamiary, z wykonaniem których pewnie jednak nie będzie się spieszyć.

W ubiegły poniedziałek zwołaną została austryacka rada państwa. Wiedeńscy obstrukcyoniści postanowili znów wyprawiać burdy, wskutek czego zawarcie umowy z Węgrami dokonanem zostanie w drodze rozporządzenia cesarskiego.

PRZEGLĄD PRASY.

Sympatyczna odezwa wyborcza komitetu wyborczego na W. Ks. Poznańskie wywarła jaknajlepsze wrażenie w całym kraju, a pisma powoli zaczynają oddziaływać na swych czytelników, zachęcając ich do wytrwałej a zgodnej pracy wyborczej. Nie napotkaliśmy wprawdzie nigdzie wyliczeń, jakie widoki mają nasi kandydaci we wyborach do sejmu, mniemać by jednak można, że porażka odniesiona przy wyborach do parlamentu, oddziała na lud nasz raczej pobudzająco, niż zniechęcająco. Wielkie zainteresowanie budzi okręg gnieźnieńsko - witkowski, w którym pięć lat temu nasz poseł został wybrany większością zaledwie jednego głosu. Dlatego też słusznie się odzywa „Lech“, zachęcając lud okręgu tego do energicznej pracy wyborczej, ponieważ oczy całego społeczeństwa naszego z obawą a niepewnością zwracać się będą w stronę starodawnej stolicy Polski:

»Ważną jest dlatego rzeczą, ażeby na walmanów wybrać ludzi odważnych i niezależnych, bo jeżeli walman jest strachajło i z obawy przed panem żandarmem lub policyantem na główne wybory nie pójdzie, tylko w domu za piecem zostanie, to cała praca na nic się nie przyda. Mamy zaufanie do naszego komitetu wyborczego, że postara się o odpowiednie osobistości na walmanów i zajmie się agitacyą. Pamiętajmy, że przy ostatnich wyborach do sejmu pruskiego przeprowadziliśmy naszego posła tylko jednym głosem większości.

A więc żwawo do dzieła, aby gród Lecha, owo gniazdo, z którego białe wyleciało orlę, nie został nam wydarty!«

Rady, jakich powyżej udziela wyborcom gnieźnieńskim „Lech“, stosują się do całego ogółu wyborców. Należy bardzo baczyć na to, jakie osobistości się wybiera na walmanów, gdyż często się zdarza że wyborcy swój obowiązek spełnią, tymczasem zaś walmani ich zawiodą. Zwłaszcza w naszych opłakanych stosunkach politycznych, niesprawiedliwy system wyborczy pruski niesłychaną nam wyrządza stratę, gdyż przy głosowaniu jawnem nie może być mowy o niezależności wobec całej zgrai wszelkiego rodzaju rządowców.

„Dziennik Poznański“ zamieszcza szereg artykułów, w których podaje sposoby obrony przeciwko teroryzmowi partyi tak zwanego Ruchu Ludowego. W jednym z tych artykułów znajdujemy poglądy, na któże każdy z nas godzić się może:

»Komitet musi mem zdaniem w całej pełni korzystać z praw swoich gospodarza, stać powinien oczywiście ściśle na gruncie prawa, zawartego w regulaminie wyborczym, ale tak samo baczyć winien, by z innej strony prawa tego nie łamano. Zwołuje wyborców miasta Poznania nie na hałasy i krzyki, nie na wyprawianie burd karczemnych, tylko na poważne narady. I dla tego sądzę, że przewodniczący winien zaraz na samym początku zebrania zagrozić kategorycznie amatorom burd i krzyków, że w razie naruszenia spokoju lub próby zagłuszenia jakiego mówcy, natychmiast zebranie rozwiąże i rządzić będzie bez wyborców w porozumieniu z prowincyonalnym komitetem wyborczym. To samo będzie musiał uczynić, jeżeli na jego wezwanie nie opuszczą sali posiłki wyborcze obstrukcyi z wielkich przedmieść Poznania, którzy wespół z nami nie mają prawa radzić nad sprawami, obchodzącemi specyalnie wyborców miasta Poznania. Niech sobie idą hałasować na swoje zebranie, ale nie na nasze. Na to, żeby nas nie teroryzowali wyborcy z przedmieść, byłby, jak sądzę, inny jeszcze sposób.«

„Wielkopolanin“ podkreśla z odezwy wyborczej, wydanej przez Komitet prowincyalny życzenie tamże wyrażone, aby do Komitetu wybierano ludzi wszystkich warstw:

»Żądanie to jest słusznem i sprawiedliwem. Do pracy, której ostatecznym celem jest wybór obrońców spraw całego narodu, nie jedna warstwa, ale wszystkie stany powinny być powołane. *A więc nie jedynie szlachta i inteligencya* — ale też nie jedynie mieszczaństwo i lud.«

Słowom „Wielkopolanina“ chyba każdy uczciwie myślący przyklasnąć musi.

W Prusach Zachodnich ruch przedwyborczy już się rozpoczął. Bardzo słusznie czyni też **„Gazeta Grudziądzka“**, zalecając w nauce o wyborach, aby lud nasz na zebraniach śmiało stawał ze swojem zdaniem, w ten bowiem sposób najłatwiej uniknie się wszelkich swarów i nieporozumień:

»Dla tego prosimy Was Wiarusy, jak najgoręcej, abyście w tych ważnych walnych zebraniach jak najliczniejszy brali udział i postarali się, aby na delegatów wybrano ludzi, którzy Wam się podobają i którzy rzeczywiście o dobro ludu dbać będą. Nie wołajcie na zebraniach za każdym razem zaraz: »zgoda!« gdy się Was spytają »czy zgoda!« Najpierw namyślcie się dobrze,



Portrety księży Jubilatów,

którzy w dniu 13-go lipca rb. obchodzili 25-letnią rocznicę święceń kapłańskich, udzielonych im przez Jego Eminencyą Ks. Kardynała Ledóchowskiego, ówczesnego Arcybiskupa Gnieźnieńsko-Poznańskiego, a którzy do dziś dnia pracują na chwałę Bożą i pożytek społeczeństwa w Archidyecezyi Gnieźnieńsko-Poznańskiej.

(Porówn. artykuł wstępny).

czy ta osoba, którą Wam proponują, rzeczywiście jest godną Waszego zaufania, a gdy tak nie jest, to powiedzcie: »nie chcemy my tego, a tego pragniemy mieć delegatem!« Tak, tak Wiarusy trzeba mieć głowę na karku i trzeba raz przecież też gębę otworzyć i swoje zdanie wypowiedzieć, a nie tylko bawić się w mruczka, palcem w bucie grozić, i potem na wszystko bezmyślnie krzyczeć »zgoda.«

Nakoniec jeszcze raz napominamy Was, Bracia Wiarusy, abyście się gromadami sypali na walne zebrania wyborcze, to obowiązek, każdego prawego Polaka.

W Prusach Zachodnich tem bardziej potrzeba ożywionej pracy w imię idei narodowej, że władze bardziej jeszcze stają na przeszkodzie wszelkiemu uświadomieniu narodowemu, niż w Poznańskiem, nie pytając się wcale, czy praca narodowa występuje po za ramy konstytucyą zagwarantowanych praw obywatelskich.

Pelpliński **„Pielgrzym“** podaje fakt następujący:

»W Rywałdzie, pow. starogardzki, piastował przez dłuższy czas urząd sołtysa dziedzić p. P. Miał też wykład w polskiem Towarzystwie rólniczem, o czem urzędowi ziemiańskiemu doniesiono. Obecnie musiał ten obywatel urząd swój złożyć. Czyżby ów wykład był tego przyczyną? Kto będzie jego następcą, nie trudno odgadnąć. W Rywałdzie wprawdzie ani jednego Niemca nie ma, choćby takowego ze świecą albo z elektrycznem światłem w ręku kto szukał. Będzie nim zapewne p. K. z sąsiedniej wioski K., Niemiec.«

Nacisk rządowy nie ogranicza się zresztą na takich drobnostkach, które w rezultacie nam, Polakom, raczej pomódz niż zaszkodzić mogą, bo lud prosty dowiedziawszy się np. o takiem usunięciu dziedzica z urzędu sołtysa będzie łatwo mógł sobie wytłomaczyć, że to ów wykład w towarzystwie polskiem był tego przyczyną, — a to przekonanie tylko objaśniać go będzie mogło, kto jest jego prawdziwym przyjacielem, a kto zaś nieprzyjacielem. Rząd jednak radby i wyższe sfery polityczne, które usuwają się właściwie z pod jego nacisku, zmobilizować przeciw Polakom w Zachodnich Prusach. Mamy tu na myśli dążenie do osadzenia koniecznie Niemca na biskupiej stolicy w Pelplinie. Wiadomo, jakie losy spotkały listę kandydatów, przedłożoną przez kapitułę. — Obecnie naczelny prezes p. Gossler twierdzi, że pod względem walki z polonizmem, Prusy Zachodnie są *„voran“*. Z tego powodu pisze **„Gazeta Toruńska“**:

»Lecz tu zapewnie czytelnicy zrozumieją, dla czego to Prusy Zachodnie według p. Gosslera są »voran.«

Lecz o cóż tu chodzi? Chodzi o to, aby Biskupem chełmińskim był Niemiec, bo duch czasu jest wrogi Polakom, a ten Niemiec ma być powolny życzeniom i zamysłom rządu.

Czy rząd przez swe spekulacye znajdzie kandydata według życzenia, wątpimy.

Nasze zapatrywanie na całą tę sprawę jest proste. Będzie naszym Biskupem Niemiec, mąż według Ducha Bożego, to dobrze; będzie to mąż słabego charakteru, to też dobrze, bo z Niemcem nie potrzebują się Polacy tak liczyć, jakby się liczeć musieli z Polakiem, chwiejnym jak trzcina.

A więc czy tak czy siak, Polacy mogą spokojnie patrzeć w przyszłość, bo ta przyszłość od nich zawisła i do nich należy.

W czasach, gdy pruskie władze zabraniają uczonym polskim zajmować się kwestyami, nie mającemi zgoła nic wspólnego z polityką, te same władze tolerują szowinistyczne wybryki rozszalałych niemieckich agitatorów, którzy w roli wędrownych mówców przemowami swemi pobudzają w spokojnym dotychczas ludzie niemieckim nienawiść przeciw Polakom, przykutym do państwowo-pruskiej taczki na politycznej arenie świata. Sylwetkę jednego z takich agitatorów kreśli **„Dziennik Kujawski“**:

»Znany już z licznych swoich występów hakatystycznych, w których zaciekłością przewyższał wielu innych agitatorów hakatystycznych, rektor szkoły miejskiej dr. Keller z Międzychodu, zaangażowany został przez Towarzystwo HKT, ażeby podczas wakacyi świętomichalskich objeżdżał Królestwo Saskie i pruską prowincyą Saską i w głównych miastach i znaczniejszych miasteczkach wygłaszał mowy hakatystyczne, podburzające przeciwko Polakom. Rektor Keller jest podobno dobrym mówcą, więc zarząd hakaty wielkie nadzieje przywięzuje do tej jego podróży, spodziewa się też napewno, że przysporzy ona hakacie conajmniej dużo nowych członków i kilku tysięcy marek. »Gesellige« pisze: »Dr. Keller zna wskutek długoletniego pobytu w dzielnicach polskich stosunki tutejsze bardzo dobrze z własnego doświadczenia, więc też mowy jego przyczynią się niezawodnie do rozszerzenia lepszego zrozumienia kwestyi polskiej.« Tak to powoli coraz szersze koła społeczeństwa niemieckiego zatrute zostaną nienawiścią do Polaków. Nas tylko, — mimo tylu już doświadczeń w tym właśnie kierunku, dziwi zawsze jeszcze to, że władza szkolna toleruje taką agitatorską działalność wychowawców młodzieży, nie zgadzającą się z ich posłannictwem.«

Postępowanie Prusaków wobec ludności polskiej wzbudza coraz większe oburzenie w Królestwie Polskiem, dokąd coraz częściej zaczynają dochodzić głosy z Poznańskiego. — Między innemi pisze **„Głos“** warszawski:

»O cynizmie, z jakim Prusak umie postąpić, niech świadczy niniejszy dokument, wystosowany do jednego z pomocniczych hamowników kolejowych, który języka swego we własnym dziecku zaprzeć się nie ma odwagi.

Chociaż jesteś Pan Niemcem, chociaż i żona Pana włada dobrze językiem niemieckim, jednakże w miejscu właściwem oświadczyłeś Pan, że syn Pański Antoni, który uczęszcza do klasy 3-ej tamecznej katolickiej szkółki ludowej, bierze lekcye religii w języku polskim, i uczy się nadto czytania i pisania po polsku w zakresie szkolnym. Nadmieniłeś Pan przytem, że dzieci Pańskie mówią w domu tylko po polsku.

Takie zachowanie się świadczy o Pańskiem usposobieniu i czyni Pana nieodpowiednim do powierzenia Mu posady niższego urzędnika i wogóle nie pozwala Pana użyć nadal jako urzędnika w służbie Zarządu kolei państwowych pruskich. Jesteś więc Pan wykreślony z listy brekowych (hamowników).

Komunikuje się przytem Panu, że uprzedziłem majstra kolejowego G. w J., aby Pana przyjął na robotnika, jeżeli Pan sobie tego życzy. DYREKCYA.«

Niechaj mówi kto chce i co chce, ale postępowanie takie nie jest bynajmniej europejskiem i godnem narodu, który ma pretensye do wysokiej kultury. Dlatego też lud nasz powinien się garnąć do polskich gazet, aby z nich czerpać prawdziwe poglądy na to, jakiem powinno być postępowanie narodu cywilizowanego, jakiem zaś jest postępowanie Prusaków. Niechaj lud nasz przejrzy i przekona się że ta „działalność lub misya cywilizacyjna“ Prusaków polega nie na czem innem, jak tylko na posługiwaniu się bardziej przebiegłemi środkami gwoli celom zaborczym.

Z tej zasady wychodząc, lud nasz powinien popierać każde pismo polskie, każde bowiem jest pionierem w tej pracy, budzącej ducha narodowego. Aby przypomnieć ten obowiązek każdego, przytaczamy poniżej kilka głosów z „zaproszeń do przedpłaty“ z okazyi końca kwartału. **„Gazeta Olsztyńska“** słusznie w tym względzie stawia za przykład Niemców, którzy bez gazet obejść się nie potrafią:

»W stronach niemieckich każdy gospodarz, rzemieślnik, robotnik, a nawet lada baba ma gazetę latem i zimą, więc też gazet niemieckich jest jak maku, a wydawcy tych dorabiają się niezgorzej. Tylko wydawcy polskich gazet ludowych muszą mizerować, bo lud polski jeszcze zawsze nie czuje tego należycie, jak potrzebną i konieczną rzeczą w świecie jest dziś gazeta. Polski chłop na wsi zawsze ma wymówkę, żeby gazety nie zapisać: To latem czasu nie ma, to zimą mu pieniędzy nie starczy, to niby chce zapisać, ale zapomni zaraz to zrobić, a potem zwleka, bo to się już nowy kwartał zaczął itd. Ale wszystko to są tylko wymówki, nieraz, żeby grosza nie wydać. Duch jest tam ochoczy, ale ciało martwe. Wprawdzie i u nas coraz więcej lud się też do czytania bierze, ale to zawsze za mało. A jedyna to nasza dziś broń przed zalewem germanizmu, jedyny środek, aby utrzymać ducha polskiego, polskie słowo, naszą narodowość: książka polska i gazeta. W każdej chacie, pod każdą strzechą powinno dziś być pismo polskie.«

Podobnie też odzywa się do swych Czytelników **„Dziennik Berliński“**:

»Jesień się zbliża, wieczory coraz dłuższe, każdy więc chętnie czyta gazetkę. *Każdy zaś Polak powinien polskie czytać pismo.* Ci, którzy z potrzeby lub dla przyjemności czytują niemieckie pisma, powinni nie zapominać, że *obowiązkiem* ich czytywać przytem i polskie pismo. By każdy ten obowiązek spełniał, na to powinni zważać Czytelnicy nasi. Dla nich samych ztąd będzie korzyść, bo im więcej pismo nasze mieć będzie abonentów, tem więcej uwzględniać może różnorodne życzenia Czytelników; pozyskując zaś dla nas abonentów z pomiędzy obojętniejszych Rodaków spełniają tem samem Czytelnicy nasi czyn patryotyczny!

Pamiętajcie więc o tem Rodacy! Zakrzątnijcie się żywo około rozpowszechniania Waszego pisma!«

Jedno z najlepszych „zaproszeń do przedpłaty“, jakie zdarzyło nam się czytać, pomieścił „Goniec Wielkopolski“, który od początku bieżącego kwartału zacznie wychodzić pod nową redakcyą i po znacznie zniżonej cenie. W zaproszeniu tem, które poniżej prawie w całości przytaczamy, znajdujemy bardzo dużo dowodów szczerego patryotyzmu, chęci służenia sprawie i pojmowania posłannictwa, jakie polskie pismo ma przed sobą: i to nas niewymownie cieszy, — bo nasze społeczeństwo — to jak orna skiba, którą płu-

giem wzruszyć trzeba, aby wzrosło na niej ziarno. Pisma dziś spełniać mają rolę tych pługów na niwie ojczystej, a im głębiej które sięgnie, tem bujniejsze wzrośnie ziarno na chlubę imienia polskiego.

„Goniec Wielkopolski“ pisze:

»Goniec W.« pragnie dogodzić setkom tych rodzin niezamożnych, które nie mogąc utrzymać dziennika drogiego, nie czytają żadnego.

Wierni zasadzie wspierania tych niezamożnych, stosujemy ją w miarę postępu czasu do obecnych warunków i potrzeb społeczeństwa.

»Zniżenie przedpłaty nie wpłynie w niczem ani na kierunek pisma, ani na treść zamieszczanej w niem pracy. Przeciwnie, postaraliśmy się o coraz to większe ulepszenia, wychodząc ze założenia,

że nam nie wolno stać na jednem miejscu,

że wszystko co najlepsze jeszcze nie jest dość dobrem dla narodu, który jak Polska w tak wyjątkowo ciężkich warunkach cierpiąc, nietylko pracuje, lecz nie chcąc wegetować, tylko żyć nadal, ponadto zmuszony jest i wzmagać się i rozrastać.

Z tem samem co z górą przed dwudziestu i dwoma laty hasłem stajemy dziś w szeregach tych, którzy podług słów największego myśliciela-poety — »choćby serce wyschło w ich piersiach, choćby zwątpić mieli o braci swojej« — pełnią przydzielony im obowiązek.

Rozum i siły ludzkie nie starczą do wywiązania się z trudnego zadania, jakie w udziele nam przypada.

W moc Imienia Bożego przeto ufni, stajemy do walki w obronie dwóch najprzedniejszych ideałów ludzkości: Wiary i Ojczyzny!

Pragniemy bronić Wiary świętej, więc i praw i urządzeń Kościoła. Pragniemy bronić Ojczyzny, więc tego wszystkiego, cośmy po Bogu najwięcej ukochali, a co nam odbierają, więc tego wszystkiego, co ludzkość cała po Bogu najwięcej ceni i do urzeczywistnienia czego nigdy dążyć nie przestanie.

W obecnym czasie panowania siły fizycznej praca ta podwójnie jest trudną.

Córy zgubnego materyalizmu: prywata i ambicye osobiste niestety i u nas nie obce.

Przychodzimy w Imię Boże zakląć je — ale nie przeklinać.

Przychodzimy godzić i wyrozumiałością bratnią łagodzić — lecz nie waśnić i burzyć.

W **„Kuryerze Pozn.“** zastanawia się jeden z naszych obywateli nad zagadnieniem, czy nasza młodzież kupiecka posiada potrzebną kwalifikacyą w korespondencyi polskiej. W artykule tym rzeczowo rozbierającym zagadnienie znajdujemy następną trafną uwagę:

„Władza szkolna uznaje zasadę pedagogiczną, nakazującą opieranie nauki na podstawie języka ojczystego, akceptuje, iż koniecznością jest, aby młodzież szkolna poznała najpierw budowę języka ojczystego, jego zasady gramatyczne, pisownię, jak nie mniej jego literaturę.

Nie przeczy, iż dziecku należy nauką udzielaną w ojczystej mowie najpierw rozjaśnić umysł i uzdolnić do pojmowania innych nauk, aby na tej podstawie uczyć następnie z dobrym skutkiem obcych języków. Ignoruje jednakże tę najkardynalniejszą zasadę pedagogiczną, gdy chodzi o kształcenie uczniów Polaków.

Tak więc wszędzie i na każdym kroku krzywda nam się dzieje; niema bowiem środka, któregoby hakata w swej zaciekłości nieużyła w celu wytępienia narodowości naszej. Nadto rozprzężenie we własnym obozie, wyzwiska, obraza Boga a co po za tem idzie niewiara i upadek moralny. Wobec tych smutnych objawów jedyną naszą otuchą *jest jeszcze — Kościół* i duchowieństwo nasze, które stoi pod każdym względem na wyżynie swego zadania.

Toć wrogom naszym chodzi tylko o to, aby nasz lud siermiężny, w którym siła i przyszłość Polski — oderwać od Kościoła; gdyby się to udało, natenczas mogłyby się ziścić przez nieprzyjaciół w usta Kościuszki włożone słowa:

„Finis Poloniae.“

Wyspa Dyabelska.

Paryski „Gaulois“ ogłosił list pana de Champeaux, który jadąc z Surinam do Cayenny widział z bliska wyspę Dyabelską, więzienie Dreyfussa. Opowiada on szczegóły następujące:



Wyspa Dyabelska, na której odsiaduje swą karę kapitan Dreyfuss.

Trzydzieści godzin jazdy nadbrzeżnej na morzu żółtem jak oliwa, oświetlonem jaskrawo słońcem gorącem, jakże one były dla nas nudne na małym parowcu. Nawet noc nie przyniosła nam ulgi. Nie! w takim kraju żyć, musi być ciężko, o! bardzo ciężko! Przestaliśmy w końcu zupełnie mówić, znosząc z westchnieniem upał okropny. Nagle jeden z majtków krzyknął: Góra Koru i wyspa Dyabelska! Mój brat z aparatem fotograficznym i ja z lornetami w ręku wybiegłem na pomost kapitana. Daleko na horyzoncie ukazuje się w samej rzeczy Koru, jedyna wyżyna płaskiego wybrzeża, a na lewo w wodzie widać palmę kokosową. To już wyspa Dyabelska! Prosimy kapitana, aby rozkazał popłynąć jak najbliżej do miejsca, służącego za wygnanie Dreyfussowi. Okręt nasz skręca do kanału między Ile royale a wyspą Dyabelską. Żadne prawo nie zabrania, o ile nam wiadomo, korzystać z tej drogi. A wyspy zbliżają się coraz więcej. Przez lornety rozpoznajemy wszystkie szczegóły.

Więzienie wyspy Dyabelskiej leży na krańcu zachodnim tuż nad brzegiem kanału. Widać czarne palisady otaczające klatkę Dreyfussa, a ponad niemi wznosi się wieżyczka, w której straż umieszczono. Wyspa Dyabelska nie jest pustkowiem kamienistem, o którem tak wiele opowiadano. Widać tam mały gaj palmowy i trochę wegetacyi. Przedstawia się ona bądź co bądź lepiej niż przypuszczałem.

Już nasz okręt zbliżył się znacznie do wyspy Dyabelskiej, gdy nagle huknął strzał. Usłyszałem krzyk kapitana: Wszyscy na pokład! Chciałem się właśnie zapytać, o co właściwie chodzi, gdy nagle huknął strzał drugi. Komendant zaklął: Jeszcze mi okręt rozwalą! W samej rzeczy gęsta chmura dymu otaczała wieżyczkę. Więc ztamtąd strzelano do nas!

Teraz przypomniałem sobie, że gazety coś wspominały o armacie, którą umieszczono na wieży strażniczej. Ale czyż można było przypuścić, że ciekawość nasza uchodzić będzie za napad i że straż powita strzałami parowiec, płynący w jasny dzień pod flagą francuską. Ale czasu nie było do długich refleksyi! Kapitan rozkazał kurs zmienić i odpłynęliśmy natychmiast na wschód. Mimo to, jeszcze dwa razy posłano nam kule armatnie, które padły tuż przy statku naszym. Dodawać chyba nie potrzebuję, że pędziliśmy całą siłą pary. Ale raz jeszcze, w miejscu zasłoniętem przed strzałami z wieży, zbliżyliśmy się do wyspy. Ujrzałem wtedy najwyraźniej chatę Dreyfussa. Brat mój natychmiast w ruch wprowadził aparat fotograficzny. Domek więźnia leży u stóp małego pagórka na samem wybrzeżu. Zwracam lornetkę ku wieży. Widzę dokładnie bieganie ludzi. Może to strach przed nami, a może to radość, że nareszcie mieli sposobność huknąć z armaty. Lecz dalej w drogę! Mijamy wyspę św. Józefa, więzienie anarchistów. Widać przez lunety ich kazamaty, których, jako niepoprawnym, nigdy im opuszczać nie wolno. Jeszcze jedno spojrzenie na wyspy okropne, gdzie mieszka tyle zbrodni i tyle nędzy ludzkiej. Jeszcze jedno zdjęcie fotograficzne i ponury widok ginie nam z oczu.

R.

Adam Mickiewicz.

Gdy naród upadły już bliski był grobu
I objąć go miała wnet śmierci noc głucha,
Tyś chwili nie spoczął szukając sposobu
By dźwignąć go siłą nie miecza, **lecz ducha.**

I w młodzież tę polską Tyś nowe tchnął życie,
Rozbudził z gnuśności do pracy i trudu;
Te pieśni czytała przed wrogiem młódź skrycie
A **święte Twe księgi** spuścizną **dla ludu.**

Tyś znów przekonał, że **w ludzie jest siła.**
W tym ludzie, co wieki już przetrwał w złej doli.
Przez Ciebie się wiara w nas samych wzmocniła,
My w pracy przetrwamy niedolę co boli.

Z. Ludomir.

Z ojczystych stron.

A czy znasz ty bracie młody...
W. Pol.

II.

OSTROWO.

W szesnastym wieku było Ostrowo już dosyć znaczną wsią, której mieszkańcy musieli płacić wysoki na owe czasy podatek, w sumie 7 złotych i 13½ groszy. Na początku 18-go wieku otrzymało Ostrowo prawa i przywileje miasta. Ale owe właśnie czasy mało się nadawały do zakładania miast. Liczne przejścia wojska zniszczyły Ostrowo, pożary dokończyły zburzenia, a mieszkańcy wymierali od morowej zarazy. W r. 1711 wysłano więc dwóch rajców miasta do Kalisza, i ci oświadczyli pod uroczystą przysięgą, że Ostrowo zrzeka się tytułu miasta, i że odtąd będzie znowu wsią.

Trzy lata później znowu się jednak stosunki zmieniły. Właściciel Przygodzic, Jan Jerzy hrabia Przebendowski Wielki Skarbnik Korony Polskiej, nadał po raz drugi Ostrowu przywilej miasta, i w porozumieniu z królem Augustem II ustanowił w r. 1714, że odtąd wolno mieszkańcom odprawiać cztery razy w roku jarmarki. W r. 1715 wydał rozporządzenie, bardzo dla miasta ważne, na mocy którego wolno było burmistrzowi rozsądzać wszelkie sprawy sądowe, z wyjątkiem kryminalnych. Dalsze rozporządzenia hrabiego z r. 1717 dają nam pojęcie o zestawieniu ludności miasta. „Jeżeli“ tak brzmi ów dokument, „znajdują się w mieście ludzie odmiennego wyznania, i pracują tu na chleb i życie, to zalecamy każdemu, aby został spokojnie przy swojej religii, i aby o sprawach kościelnych nie dysputował. Takie rzeczy zostawić najlepiej osobom uczonym i duchownym.“ Ewangelicy otrzymują więc na mocy tego dokumentu prawo odprawiania nabożeństwa w swoich domach, ponieważ protestanckiego kościoła nie mają. W r. 1723 daje hrabia Przebendowski wszystkim obywatelom domy, które sobie na jego gruncie zbudowali, na własność, uwalnia obywateli od służby, i żąda za to rocznie dwie tymzy. (Tymza jest to mały srebrny pieniądz, wartości srebra 40 fen.) Niedługo potem nastąpiła zmiana właścicieli Ostrowa. Po śmierci Przebendowskiego objął zięć jego, Franciszek Bieliński Przygodzice, a zarazem i Ostrowo. W r. 1730 potwierdził nowy dziedzic przywileje swego teścia, i przyrzeka wybudować w następnym roku ratusz, oraz nowe kramy i budy, celem podniesienia handlu. Równocześnie obiecuje wystawić nowy kościół naszego wyznania i sprowadzić niemieckiego kapłana, aby i „obywatele niemieccy, katolickiej wiary“ mogli dbać o swoje zbawienie. Nakłania mieszkańców rozmaitych wyznań do zgody, stara się o porządek publiczny, i w tym celu umieszcza trzech dragonów w sąsiedniej Kępie.

Chociaż mieszkańcy Ostrowa trudnili się przeważnie rolnictwem, to jednak już i w tym czasie odgrywały fabryki sukna dosyć ważną rolę. W połowie przeszłego wieku miało tam być 100 sukienników, a pragnąc przemysł ten rozszerzyć, postanowił Bieliński założyć już w r. 1730 nowy folusz, i sprowadził z za granicy uczonych falbierzy i sukienników, żądając jednak, aby wyrabiali tylko najlepszy towar.

Gdy nowy ratusz został wybudowanym, ustawiono w około niego 18 bud kramnych. Budy te kazał Bieliński sprzedać piekarzom, rzeźnikom i innym handlarzom za 80—100 złp.

Po drugim rozbiorze Polski w r. 1793 przeszło całe województwo Kaliskie, a zatem i Ostrowo pod panowanie pruskie. Trzy lata później liczono po raz pierwszy ludność, przy tej sposobności okazało się, że miasto ma 3191 mieszkańców, i że jest co do wielkości dziewiątem miastem ze rzędu w W. Ks. Poznańskiem. W r. 1807 przyłączono Ostrowo do Ks. Warszawskiego, po kongresie wiedeńskim jednak, wróciło znowu do Prus.

Długie lata wojenne czasów Napoleońskich zniszczyły niezmiernie miasto. Ziemia spustoszała, handel i przemysł upadł zupełnie. Sukiennictwo tworzyło zawsze jeszcze główną gałęź industryi miasta, w r. 1817 liczono na 3390 mieszkańców, 123 sukienników, ale ci skarżyli się na wysokie ceny wełny, i na zbyt wygórowane żądania czeladników. Spodziewano się polepszenia stosunków przez otwarcie drogi handlowej do Chin, sądzono też, że nowy ukaz carski, pozwalający wskutek braku falbierni w Rosyi, farbować sukno w Prusach i wozić je, aż do 200 łokci bez opłaty cła, wpłynie korzystnie na rozwój sukiennictwa. I tak się rzeczywiście stało. Sukiennictwo podniosło się znacznie i zakwitło w całej pełni, ale wkrótce upadło po raz drugi i to na zawsze. Rosyjski minister Cancrin (od roku 1821—1844) nie pozwolił wywozić sukna bez opłaty cła, a później kazał budować w Rosyi fabryki falbiernie. — To zadało ostatni cios industryi ostrowskiej.

W r. 1828 wybudował książe Radziwiłł nowy, do dziś dnia stojący na Rynku, ratusz. Czy plan tego ratusza jest, jak niektórzy twierdzą, dziełem Schinkla, tego dowieść nie można, nie jest to jednak niemożliwem, ponieważ sławny ten budowniczy w tym samym mniejwięcej czasie narysował plan pałacyku myśliwskiego w Antoninie. Ratusz był długo jeszcze własnością Radziwiłłów, dopiero w r. 1862 przeszedł na własność miasta.

W r. 1831 otrzymało Ostrowo prawa i przywileje innych miast pruskich, a niedługo potem zniesiono wszelkie podatki i czynsze, jakie mieszkańcy płacili właścicielom Przygodzic.

Rok 1848 nie przeszedł i dla Ostrowa bez śladu. Powstańcy zbierali się tłumnie tak w mieście jak i okolicy, a w nocy z 11 na 12go kwietnia byłoby przyszło do rozlewu krwi, ale przybycie w ostatniej chwili oddziału huzarów z Raszkowa przeszkodziło temu. Pod Raszkowem stoczono kilka dni później bitwę, która jednak dla powstańców wypadła niepomyślnie.

Podług zapisków w starych kronikach było Ostrowo przed mniejwięcej stu laty otoczone murem, ulice były brukowane, i miasto liczyło 322 domów, z których 4 były zbudowane masywnie — jeden dom był pokryty dachówką, reszta zaś szkudłami. Do miasta należało też 49 stodół, z których 18 znajdowało się w mieście, a 31 na przedmieściu. Mieszkańców było, oprócz wojska, 2541. Z tych było 891 wyznania katolickiego, 1269 luterskiego i 381 żydów. W ostatnim stuleciu wzrosły liczby te niewiele, i tak jest teraz:

r.	mieszkańców	katolików	ewangelików	żydów
1817	3390	1101	1580	709
1840	4797	1626	1673	1498
1849	5472	1997	1890	1645
1861	7031	2779	2333	1919
1890	9718	4967	3278	1870

Widzimy więc, że liczba katolików i żydów zwiększa się bardziej, niż liczba protestantów.

Mieszkańcy wszelkiego wyznania mają tu swoje świątynie i duchownych. Dawniej był jeden kościół katolicki i jeden luterski, dwóch księży katolickich i jeden ksiądz luterski. Gdy pod panowaniem Stanisława Augusta przeszły Przygodzice a zarazem Ostrowo na własność Radziwiłłów, zajęli się nowi dziedzice bardzo gorliwie sprawami miasta. I tak wybudował Michał Radziwiłł w r. 1781 kościół katolicki, który stoi dziś jeszcze. Jest on zbudowanym z desek a raczej z drewnianych murów i ustąpi z końcem tego wieku miejsca nowemu, większemu i murowanemu. Tenże sam książę pozwolił na wzniesienie kościoła ewangielickiego, który także dziś jeszcze istnieje i wystarcza gminie, dał nawet protestantom miejsce i drzewo do ich kościoła, poświęconego w r. 1778.

Godnemi wzmianki są też stosunki szkólne Ostrowa przed stu laty. I tak był w Kęszycach, pobliskiej wsi, nauczycielem kowal, który jednak z powodu „wielkiej uczoności złożył urząd kowala“. Dziedzic dał mu wolne mieszkanie ogródek i domek, w którym przecież „osobnej izby szkólnej nie było“. W Czarnolesiu był nauczycielem stolarz, i ten wykonywał tak obowiązki nauczyciela jak i stolarza. W Szczurach chcieli ojcowie rodzin dać nauczycielowi, oprócz mieszkania i jednej morgi ziemi na ogród rocznie pewną porcyą zboża, ale pieniędzy tylko 22½ złp. (11,25 mrk.) i kilka groszy od każdego dziecka. W innej jeszcze wsi był podobno nauczyciel, który nie umiał pisać, ani pisanego czytać.

W mieście samem przedstawiały się stosunki szkólne o wiele za to korzystniej. Były tu dwie szkoły, katolicka i ewangielicka, przy każdej zaś był jeden nauczyciel. Od r. 1835 istnieje też jeszcze żydowska szkoła ludowa. Katolicka szkoła została wybudowaną w r. 1836 za wstawieniem się ówczesnego proboszcza ks. Kompały, który też powziął myśl założenia gimnazyum, w czem mu był bardzo pomocnym p. Lipski, dziedzic Lewkowa pod Ostrowem.

Oprócz tych szkół publicznych znajduje się jeszcze kilka prywatnych — szkoła dla dziewcząt, szkółka Fröblowska i zakład opiekuńczy dla małych dzieci.

Szkoła żydowska, założona w r. 1835, posiadała początkowo jednę tylko klasę, wkrótce jednak dodano jeszcze trzy, ale w r. 1888 musiano znowu jednę klasę skasować. Teraz nawet mają być tylko dwie klasy. Pochodzi to ztąd, że teraz „dzięki Bogu“ coraz więcej żydów ubywa z Ostrowa, a zatem i liczba uczniów zmniejsza się. Około r. 1860 uczęszczało tam blisko 300 dzieci — dziś jest ledwie 100 żydziaków.

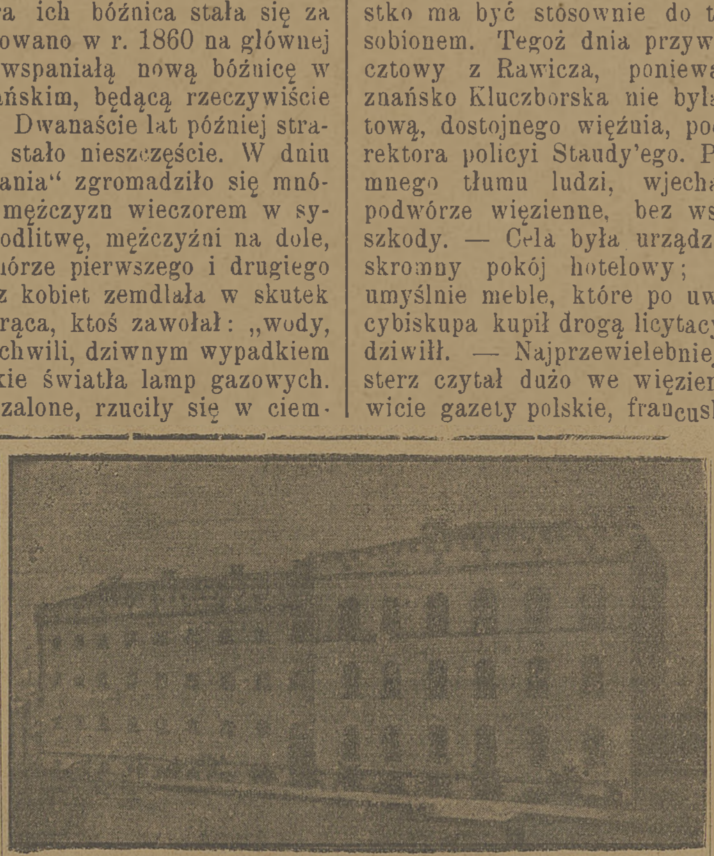
Gmina żydowska istnieje tu mniej więcej od 60 lat, ale i przed 200 laty byli tu już Żydzi. Z przywileju, jaki im nadał Przebendowski w r. 1724 widzimy że wolno było osiedlić sie w Ostrowie 12



Sąd ziemiański w Ostrowie.

Żydom w 12 domach. Dano im jakiś dom, w którym mogli się modlić, oraz kawałek ziemi na cmentarz. Wolno im się było trudnić handlem i byli pod opieką hrabiowskiego administratora. Nie podlegali oni jednak władzy burmistrza, tylko we wszystkich sprawach, nawet i w kryminalnych, zależeli od właściciela miasta. Nie potrzebowali też płacić podatków miejskich — to zaś, co płacić musieli, należało wyłącznie dziedzicowi. Dom, oddany Żydom na bóżnicę, stał tam, gdzie dziś stoi rzezalnia drobiu, a cmentarz ich został skasowanym w r. 1780. Ale z biegiem czasu wszystko się zmieniło — Żydzi mogli się osiedlać dowolnie w Ostrowie i liczba ich wzrosła do r. 1861 prawie na 2000. Od tego czasu jednak ubywa ich coraz to więcej. Gdy stara ich bóżnica stała się za ciasną, wybudowano w r. 1860 na głównej ulicy miasta wspaniałą nową bóżnicę w stylu maurytańskim, będącą rzeczywiście ozdobą miasta. Dwanaście lat później straszne się tam stało nieszczęście. W dniu „święta pojednania“ zgromadziło się mnóstwo kobiet i mężczyzn wieczorem w synagodze na modlitwę, mężczyźni na dole, kobiety na chórze pierwszego i drugiego piętra. Jedna z kobiet zemdlała w skutek ogromnego gorąca, ktoś zawołał: „wody, wody“ i w tej chwili, dziwnym wypadkiem zgasły wszystkie światła lamp gazowych. Kobiety, jak szalone, rzuciły się w ciemności ku drzwiom, sądząc, że pożar, i przy tej sposobności poniosło śmierć przez zaduszenie 14 kobiet i 4 dziewcząt. Od tego czasu nie wolno kobietom chodzić do synagogi w święto pojednania.

Jednym z najokazalszych budynków Ostrowa jest sąd ziemiański, wybudowany w r. 1863, a powiększony w r. 1883. W tymże gmachu znajduje się także sąd okręgowy. Równolegle ze sądem leży więzienie, które stało się historycznem od czasu, kiedy w niem Arcybiskup Ledóchowski przebywał. Cela, w której mieszkał tak długo ma nr. 25. i jest oznaczoną. Dnia 31 stycznia r. 1874 zawiadomiono inspektora potajemnie, że Arcybiskup Ledóchowski zostanie tu przywiezionym dla odbycia dwuletniej kary więziennej, i że wszystko ma być stósownie do tego przysposobionem. Tegoż dnia przywiózł wóz pocztowy z Rawicza, ponieważ kolej Poznańsko Kluczborska nie była jeszcze gotową, dostojnego więźnia, pod eskortą dyrektora policyi Staudy'ego. Pomimo ogromnego tłumu ludzi, wjechał powóz na podwórze więzienne, bez wszelkiej przeszkody. — Cela była urządzona tak, jak skromny pokój hotelowy; zarząd kupił umyślnie meble, które po uwolnieniu Arcybiskupa kupił drogą licytacyi książe Radziwiłł. — Najprzewielebniejszy Arcypasterz czytał dużo we więzieniu — mianowicie gazety polskie, francuskie i włoskie, sam jednak nie pisał nic. Z początku, ponieważ nie miał służącego, uprzątał celę własnoręcznie, później dano mu sługę, który mieszkał w sąsiedniej, narożnej celi. Oprócz pokoju sypialnego, miał Arcybiskup jeszcze pokoik do modlitwy i przyjmowania gości, i tutaj odwiedzali go często prob. Fabisz, oraz niedawno zmarły ks. Edmund Radziwiłł, ówczesny wikaryusz ostrowski. Dla innych więźniów był Arcybiskup bardzo uprzejmym.



Więzienie Ostrowskie.

Oprócz sądu zasługuje jeszcze na wzmiankę gmach pocztowy, ukończony w r. 1886.

Co do stosunków finansowych miasta i co do rozwoju handlu, to podać można następujące jeszcze szczegóły: Przed stu laty składał się magistrat z dwóch urzędników, burmistrza i wójta. Burmistrz otrzymywał, oprócz pobocznych dochodów, stałej pensyi 200 florenów (czyli 100 mk.) wójt zaś połowę tego. Dochody miejskie w r. 1794 wynosiły 11,550 flor. wydatki 9189 flor. Do skarbu państwa oddało miasto w tym samym roku 1816 flor., jako podatku od kominów i 3150 flor. akcyzy na mięso. Nadto otrzymywał dziedzic Przygodzic co rok 100 talarów na utrzymanie żołnierzy. Podatek ten zniósł rząd pruski w r. 1795 na mocy przywileju, nadanego miastu przez hr. Przebendowskiego, zwalniającego mieszkańców od wszelkich podatków i dziesięcin. Żołnierzy nie potrzebował też już utrzymywać ks. Radziwiłł, ponieważ rząd sam opiekuje się miastem. Cała korespondencya, jaką rząd w tym celu prowadził z księciem Radziwiłłem, odbywała się w języku francuskim.

Urząd wójta zniesiono na końcu przeszłego wieku. W r. 1797 musiało miasto zaciągnąć pożyczkę w ilości 166 dukatów (1600 mrk.), które spłacano oszczędzonemi pieniędzmi na utrzymanie żołnierzy.

Że zaś sukiennictwo coraz więcej upadało, przeto było w r. 1803, pomimo wzrostu liczby mieszkańców, deficytu 116 talarów.

Oprócz sukiennictwa kwitło tu na początku tego stulecia krawiectwo i szewstwo. Było także kilka wielkich i dobrze urządzonych gorzelni. Handel nie doszedł w owych czasach do wysokiego rozwoju, ci kupcy jednak, którzy nim się zajmowali, mieli dostateczne utrzymanie. Dziwna rzecz, że nie było w Ostrowie ani doktora, ani chirurga, apteka znajdowała się wszakże.

Z biegiem czasu zmieniło się wiele rzeczy na korzyść. Budowano fabryki, wysokie, trzy- albo i czteropiętrowe domy, przez co naturalnie ziemia zyskała niezmiernie na wartości. Nowe ulice powstały i tak można teraz zaliczać Ostrowo do jednego z ładniejszych miast w Księstwie. Kolej Kluczborsko-Poznańska, wykończona w r. 1875 ułatwiła znacznie komunikacyą z większemi miastami, później wybudowano kolej do Leszna, a teraz wybudowano jeszcze jednę linią kolejową i to do Skalmierzyc, aby ułatwić handel z Polską.

Herbem miasta Ostrowa jest błękitne jabłko, oprawne złotem, spoczywające na dwóch, złożonych, złotych kluczach.

Jabłko było herbem założyciela, hr. Przebendowskiego, klucze zaś są symbolem przywilei i praw miejskich.

Okolica Ostrowa pomimo wyrębów zrobionych przez kolonizacye i Landbank,

jest rdzennie polską i dość zamożną a w mieście samem żyje i rozwija się coraz bardziej duch polski, do czego niezawodnie przyczynia się też bardzo tamże wychodząca „Gazeta Ostrowska,“ redagowana bardzo umiejętnie przez Witołda Leitgebra, jeszcze młodego, lecz dzielnego wiarusa.

Kronikarz „Pracy.“

DZIEŃ TRZECI.

A trzeciego dnia dusza wróci do ciała...
I przeszło już dni dwa... a trzeci dzień
[wnijdzie, ale nie zajdzie...
(Adam Mickiewicz. Księgi Narodu Polskiego).

»A dnia trzeciego wrócę Tobie duszę,
»Nowy pęd życia w Twem ciele wyrośnie —
»I wstanie naród, jako kwiat we wiośnie,
»Moce piekielne padną, bo je skruszę!«

* * *

Zagrzmiały słowa i runęły w świat,
Nowe budując ołtarze...
Synom jej ojciec, a wnukowi dziad
W ostatnim zostawia darze.
I potężnieją i rosną... Jak z trąb
Aniołów wypływa ich grzmot —
I zda się ostatni wnet zrąb
Zdobędą w lot!

* * *

Zrąb się już chwieje — ostatnia reduta
W swoich posadach słania się i drży —
Zwycięska do niej zbliża się już nuta:
Dwa dni już wstały... a muszą być trzy!

Pierwszemu nazwę Równości nadano...
Ten w pełni światła... myśmy równi wszyscy:
Mali i wielcy, dalecy i bliscy!
Ktośmy? — pytają... — »Naród« nasze miano!

I był już Naród, — z jednej zrodzon Matki —
I pragnął święcić Zjednoczenia święto,
A więc w dzień drugi sztandar rozwinięto...
Zwał się: Braterstwo... — Był to sztandar rzadki!

Będzie dzień Trzeci — a Wolność się zowie...
Mrok szary w łonie swem tuli go jeszcze...
Wschód snać jest bliski — bo przedśmiertne
[dreszcze
Wstrząsają piekłem — pełza po niem mrowie...

Wschód niedaleki — i już światła fala
Migoce w dali — rozsuwa się mgła,
Wije się, skupia... i znowu przewala...
Błyśnie wnet Trzeci — bo wstały już dwa!

Dwa więc już wstały — dni zwycięstwa, klęski,
Równość, Braterstwo — to zwycięstwo nasze,
A choć niedoli gorzką pije czaszę
Naród znękany — jednak jest zwycięski!

I głosem wielkim: »**Żyję oto!**« — woła —
»Choć piekło chciało roztrzaskać mnie w puch,
»Jednak z promieniem złocistym u czoła
»Staję i wołam: **We mnie żyje duch!**

»A duch ten starczy za duchów miliony!
»Cierpieć i kochać za miliony umie,
»Bo do miłości i cierpień stworzony!..
»Znasz mego ducha, ty bezduszny tłumie?

»Duch mój — to hydra!... Utnij jedną głowę,
»Wnet na jej miejsce wyrośnie głów sto!
»Tnij dalej — ciągle rosnąć będą nowe,
»A wszystkie własną wykarmione krwią!

„**Duch mój nie ginie!** Choć jednostka padnie,
»Ja ci w stu innych mego ducha spiętrzę,
»Choćby go piekło miało w sercu na dnie!...
»Takiego ducha kryje moje wnętrze!“

Duch ten w ciemnościach nigdy nie zagości,
.... pod stopy nigdy się nie rzuci,
Bo on piekielnych nigdy nie znał chuci,
Bo to Braterstwa duch jest i Równości!

* * *

I stoi naród — z Bratem stoi Brat —
Ufny, że wkrótce rozpierzchnie się mrok,
Bo wierzy słowom, co runęły w świat,
Że wkrótce złączy nas **zgody** stok,

Że mimo piekła, wrzasków, mimo zgrzytu, —
Pędzić wciąż będzie, wciąż wyżej... do szczytu,
Że pieśń dziękczynna wnet ku niebu wzleci:
»O Panie, Panie!.. Dzięki za Dzień Trzeci!«

* * *

I stoi naród, wielki naród Ducha,
Który jest jako krynica najczystsza —
Wznosi swe serca i sercem dziś słucha,
Bo oto słyszy święte słowa Mistrza:

»**A dnia trzeciego wrócę Tobie duszę**,
»Nowy pęd życia w Twem ciele wyrośnie,
»I wstanie naród, jako kwiat we wiośnie —
»Moce piekielne padną — bo je skruszę!«

Antoni Jastrzębiec.

W setną rocznicę urodzin poety, króla pieśni polskiej naszego nieśmiertelnego wieszcza Adama Mickiewicza

(ur. 24 grudnia 1798 r., um. 1855 r.)

(Ciąg dalszy.)

Ostatnie lata w szkole powiatowej.

Jak niedawno Adaś Mickiewicz łzy radości wylewał na widok hufców naszych, ciągnących przeciwko Moskwie, tak teraz po klęsce Napoleona poniesionej pod Moskwą i podczas odwrotu, musiał wraz z innymi patrzeć ze smutkiem i goryczą w sercu na nędznych niedobitków świetnej armii, wracających w okropnym stanie do ojczyzny przez ziemie litewskie i polskie. Nad ziemią naszą znowu rozpostarła się czarna noc niewoli i ucisku.

Prócz tego zawodu inny jeszcze ciężki cios dotknął w tym czasie Adama. Ojciec jego umarł w maju 1812 r., pozostawiając bez należytego zaopatrzenia matkę i nieletnich chłopców. 14-letni poeta musiał więc teraz myśleć również o tem, aby ulżyć matce w trudnem położeniu i w klasie 5tej i 6tej przyjął na się obowiązek dozorcy domowego uczniów młodszych czyli uczył drugich, aby nie być ciężarem matce. W pracy tej był sumiennym, zdatnym i „pilnie zadość czynił swym obowiązkom“—jak to poświadczyła władza szkolna.

Praca szkolna i obowiązki dozorcy nad drugimi nie pochłaniały jednak zupełnie jego czasu i uwagi. Nie zapomniał on o ludzie i nieraz z przyjacielem swym Janem Czeczotem spieszył do wiosek sąsiednich, aby coraz lepiej, coraz dokładniej poznać i umiłować ten lud, aby — może bezwiednie — dalej wzbogacać swego ducha, swą przyszłą tak potężną twórczość poetycką skarbami poezyi ludowej. Pięknie to opisuje współczesny i dobrze ich obu znający pisarz Domeyko. Oto jego słowa: „Dwaj nasi studenci (Mickiewicz i Czeczot) szkoły nowogródzkiej od najwcześniejszych lat znali dobrze lud nasz litewski, polubili jego pieśni, przejęli się jego duchem i poezyą; ku czemu zapewne przyczyniło się i to, że małe miasteczko Nowogródek niewiele się różniło od wsi, i zaścianków naszych. Życie szkolne było raczej wiejskie. Przypatrywali się kiermaszom, targom i odpustom, bywali na weselach chłopskich, dożynkach i pogrzebach. Stąd też za szkolnego jeszcze życia uboga strzecha i pieśń gminna roznieciły w obu pierwszy ogień poetyczny“.

Szkołę powiatową w Nowogródku, która wówczas miała mniej więcej to znaczenie, co dzisiejsze gimnazyum, (ale składała się tylko ze 6 klas) ukończył Adam Mickiewicz z końcem czerwca 1814 r. — Otrzymane świadectwo stwierdziło, że „pan Adam Mickiewicz w publicznej szkole nowogródzkiej do klasy szóstej w ciągu jednego roku uczęszczał, do wszystkich nauk... pilnie się przykładał i nic przeciwnego obyczajności nie popełnił, lecz owszem pobożnością, nieskazitelnością obyczajów przyświecał“.

Z tem świadectwem opuszczał Mickiewicz Nowogródek i rodzinę. W jesieni miał się udać na uniwersytet czyli do najwyższej szkoły do wielkiego miasta Wilna. Dusza i umysł młodzieńca rwały się do nowego życia, do szerokiego świata, ale równocześnie żal ściskał serce, kiedy mu przyszło na myśl, że trzeba będzie żegnać ukochaną i kochającą go nad życie matkę i braci, trudno mu było rozstać się z ulubionemi stronami rodzinnemi, z umiłowanym ludem sielskim, cała młodość to mu przecież przeszła tak błogo i serdecznie. O tych to zapewne czasach myślał poeta, pisząc po wielu latach te śliczne słowa:

»Polały się łzy moje czyste, rzęsiste,
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i chmurną.«

* * *

Adam Mickiewicz we Wilnie.

Przyjazd do stolicy Litwy.

„Przy końcu lata 1815 r., po drodze z Nowogródka do Wilna toczyła się duża bryka żydowska, w której na przedzie siedziało dwóch żydków na swoich tłomokach, w głębi zaś w budzie siedział kupiec z Mira Jankiel, stary, poważny żyd z długą białą brodą, a obok niego siedmnastoletni młodzieniec o drobnej, ale pięknej twarzy, pokrytej rumieńcem, otoczonym bujnym, czarnym jak heban włosem i ozdobionej koralowemi ustami i dwojgiem czarnych marzących oczu.“ Tym młodzieńcem był Adam Mickiewicz, jadący po ukończeniu szkół w Nowogródku do Wilna, aby się zapisać na uniwersytet.

Ukochanego synka, wyjeżdżającego po raz pierwszy na dłuższy czas z domu, zaopatrzyła mamusia w 11 dukatów (z tych jeden był święcony, z wizerunkiem Najświętszej Panienki), co nie było wcale dużą sumą, ale Mickiewiczowi się zdawało, że wiezie wielki skarb ze sobą i zdjęła go obawa, aby mu tego skarbu żydki nie zabrały. Wydobył więc stary pistolet nabity, wzięty ze sobą z domu i położył na kolanach. Stary żyd zląkł się trochę i zmiarkował, o co się rozchodzi Mickiewiczowi, starał się więc wytłomaczyć mu, że niema się czego obawiać. Tłomaczenie to było tak szczere i przekonywujące, że

Mickiewicz schował pistolet, czem sobie pozyskał życzliwość kupca, który w ciągu dalszej drogi gorliwie się nim opiekował.

Sprzeczne uczucia budziły się w sercu młodzieńca, im bardziej zbliżał się do stołecznego grodu Litwy. Nowe życie, nowe stosunki pociągały wrażliwą duszę ku sobie, ale równocześnie budziły pewien nieokreślony niepokój, czy tu pośród obcych da sobie radę, czy znajdzie jakie dobre, szlachetne serce, przed którem mógłby się zwierzyć, wyspowiadać, podzielić wszystkiemi myślami i rojeniami. Wśród takich dumań i myśli przyjechał do Wilna, i przez Ostrą Bramę miał wejść do miasta. Przypomniał sobie wtedy Adam polecenie pobożnej matki, aby się udał naprzód do cudownego obrazu Najśw. Panienki Ostrobramskiej i prosił Ją o opiekę. Ukląkł więc przed cudownem obrazem i zaczął się modlić, a „przypomnienie matki i wrażenie obcego miasta, tak go mocno wzruszyły, że się łzami rzewnemi rozpłakał.“ Wstał jednak pokrzepiony szczerą modlitwą i z dobrą otuchą w sercu podążył do imiennika swego, czy też nawet dalekiego krewniaka księdza Józefa Mickiewicza, profesora uniwersytetu.

Ksiądz Mickiewicz, wówczas już 80-letni starzec, przyjął Adama dosyć życzliwie i dał mu nawet tymczasem u siebie pomieszkanie.

Adam Mickiewicz, nie mając środków utrzymania we Wilnie, przybył tu ze zamiarem odbycia nauk uniwersyteckich na koszcie rządowym, za co później musiał być nauczycielem przez 6 lat tam, gdzie mu rząd każe. Miał więc otrzymywać od władzy uniwersyteckiej skromne utrzymanie aż do ukończenia swoich studyów, ale w tym roku dla tych, co się chcieli kształcić na nauczycieli, było tylko jedno miejsce wolne, a był jeszcze drugi taki student, co się o to miejsce starał. Ponieważ obaj kandydaci mieli dobre świadectwa ze szkół, więc egzamin miał rozstrzygnąć, który bardziej zasługuje na przyjęcie.

Poznanie się Mickiewicza z Zanem.

W oznaczonym terminie zjawili się obaj współzawodnicy w kancelaryi uniwersytetu, spojrzeli na siebie zakłopotani, skłonili się sobie w milczeniu i czekali niecierpliwie na wezwanie komisyi egzaminacyjnej. Tym drugim młodzieńcem, który również chciał odbywać nauki na koszt rządowy, był *Tomasz Zan*, syn ubogiej rodziny szlacheckiej, pochodzący również z nowogródzkiego powiatu na Litwie.

Wreszcie wezwano obu kandydatów do sali egzaminacyjnej. Na zadawane pytania odpowiadali równie dobrze. Po egzaminie mieli znowu czekać w kancelaryi na wyrok. Dziwne uczucia przejmowały ich szlachetne dusze. Każdy z nich będąc biednym, pragnął być przyjętym na koszt rządowy, ale równocześnie bolało go to, że przez to samo robi przykrość i zawód drugiemu. Ta myśl jakimś dziwnym smutkiem i przygnębieniem ich napełniała.

Nareszcie przeczytano wynik a mianowicie, że pan Adam Mickiewicz został przyjęty, ale że i egzamin pana Tomasza Zana uznano za dobry, i że w przyszłym roku uzyska żądane miejsce. Mickiewicz zamiast się ucieszyć tym pomyślnym wynikiem, był jakiś dziwnie przygnębiony i upokorzony; zdawało mu się, że niesłusznie jego egzamin uznano za lepszy, że to tylko przez protekcyą czyli poparcie księdza Mickiewicza się stało, więc ta myśl truła mu wesołość i przejmowała bólem serdecznem, że przez niego ktoś drugi został pokrzywdzonym. Bystre oko Zana dojrzało tę walkę wewnętrzną, malującą się na ujmującej twarzy szlachetnego współzawodnika, zbliżył się więc do Adama i powinszował mu tak szczerze, tak serdecznie, że ten jeszcze bardziej się zmięszał, ale zarazem i rozrzewnił. Obaj chłopcy rzucili się sobie ze łzami w ramiona, a ten pierwszy uścisk bratni miał połączyć i zespolić ich przezacne i czyste dusze na zawsze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NIEŚMIERTELNEMU!

Królu poetów! nasz wieszczy Adamie!
Czemu nie zejdziesz w świętej Matki progi,
Tysiące przeszkód dręczy nas i łamie
W złotopszennej polskiej ziemi rosną—głogi,
A w tem zwątpieniu, bólach i rozterce,
W piersiach Twych braci obumiera serce.
Królu poetów! nasz wieszczy Adamie!

Królu poetów! wieszczu ponad wieszcze!
Pół wieku mija od Twojego zgonu
A jeszcze mile w duszy nam szeleszcze
Głos Twoich pieśni, jakby echo dzwonu,
Choć nasze oczy zapełnione łzami,
Ty nieobecny żyjesz między nami;
Królu poetów! wieszczu ponad wieszcze!

Królu poetów! apostole *Słowa*
Spojrzyj z obłoków na ojczyste łany,
Widzisz tam świeci „jasna Częstochowa“,
A w niej się modli lud Twój ukochany,
Wznieć w nas ten ogień, co pierś rozpłomie- [nia
I zagrzmij hasłem; „Ramię do ramienia“
Królu poetów! apostole *Słowa*!

Królu poetów! miłości kapłanie!
Zlituj się zlituj nad niedolą ludu.
Niech pieśń Twa wzniosła hasłem mu się sta- [nie
Niechaj daremnie nie wygląda cudu.
Za sławy tyle i za serca tyle
Nie daj mu długo czekać na te chwile
Królu poetów! miłości kapłanie!

Hazet.

POTWORY.

POWIEŚĆ.

w oryginalnem tłomaczeniu z francuskiego dla „Pracy“ przez W. D.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

Ważny to był i uroczysty dzień dla wszystkich mieszkańców zamku Turnor, gdy Marcelek, po dwuletniej prawie, uciążliwej i bolesnej kuracyi, po której nastąpiła dosyć ciężka operacya, po raz pierwszy wstał z łóżka, aby się na nowo zupełnie uczyć chodzić. Oparty na ramieniu matki i Klotyldy, posuwał się, jak maleńkie dziecko, a każde poruszenie nóg sprawiało mu jeszcze dokuczliwy ból i męczyło go niezmiernie.

Leczenie wykrzywionych i bezwładnych jego członków odbywało się pod nieustannym dozorem lekarza. Chirurg z Paryża przyjeżdżał co cztery tygodnie i za każdym razem konstatował wolne, ale stałe polepszenie chorego.

Irena nie odstępowała syna ani na chwilę, pielęgnując go z najwyższem poświęceniem sie i zaparciem własnej osoby. O Alfonsie żadnych nie miała w tym czasie wiadomości, więc też nie myślała już o rozpoczęciu procesu rozwodowego, co początkowo było jej zamiarem. Chciała się pozbyć nazwiska tego potwora, ale ponieważ choroba syna zajęła ją tak wyłącznie, przeto odłożyła sprawę tę na później.

Marceli nie umiał naturalnie ani czytać, ani pisać. Dla skrócenia mu nudów, wywołanych ciągłem prawie leżeniem w łóżku, zaczęła go Irena uczyć, a chłopiec, mając niezmierne zdolności i bystre pojęcie, robił ogromne postępy. Po kilku miesiącach sprowadziła wybornego nauczyciela i wtedy ułożono cały plan gruntownego wykształcenia dziecka. Marceli uczył się z prawdziwym zapałem i zapominał nie raz o swych strasznych cierpieniach, które znosił z prawdziwem bohaterstwem. Tłumił jęki boleści, nie chcąc przerażać Ireny, uśmiechał się, gdy mu prostowano i wyciągano nogi i byłby wolał umrzeć, niż widzieć łzy w oczach uwielbianej matki.

Jakaż różnica zachodziła pomiędzy jego teraźniejszem a przeszłem życiem! Poznawał je obecnie z innej zupełnie strony, z pięknej i świetnej, podczas kiedy dotychczas znał je tylko z najokropniejszej, jaką sobie wyobrazić można.

Wspominał też często Gizelę — ów jedyny promyk słoneczny, który na chwilę ozłocił jego dawniejszą niedolę, a wspomnienie tej małej jego towarzyszki stawało się coraz żywszem i tęsknota za nią coraz gorętszą.

Irena także, oddana całkiem pielęgnowaniu syna, zdawała się budzić do nowego życia. Im więcej wpatrywała się w jego twarz, tem więcej odkrywała podobieństwa do swego ukochanego Fryderyka. Wypytywała dziecko nieustannie o przeszłości i kazała sobie opowiadać najdrobniejsze szczegóły jego życia, nie miała jednak nigdy odwagi mówienia mu o ojcu i okropnej śmierci, jaką poniósł. Marceli był jeszcze za młody, aby go wtajemniczać w krwawy dramat rodzinny.

I tak nadszedł dzień, w którym przyjechał znowu chirurg z Paryża, w celu wykonania operacyi, potrzebnej do przywrócenia sił bezwładnym nogom dziecka.

Od samego rana panowało w zamku niezmierne zamieszanie. Wszyscy z niepokojem oczekiwali chwili, w której miała się rozstrzygnąć przyszłość młodego barona. Cała służba, przywiązana do Ireny, dzieliła jej smutki i nadzieje i pokochała szczerze Marcelka, który z wdzięcznością przyjmował każdy dowód życzliwości. To też ogólne a serdeczne życzenia polepszenia towarzyszyły małemu pacyentowi w tej stanowczej godzinie jego życia.

Najbardziej wzruszoną była Klotylda. Kochała ona Marcelka, jak własnego syna, ale pomimo, że serce jej zamierało nieomal ze strachu, uśmiechała się wesoło i dodawała odwagi matce.

W Śmiełowie.

Kartka z życia Mickiewicza.

Wązkiem, otwartem okienkiem wychodzącem na park, na drogę i hen dalej na łąki i pola Śmiełowa po przez wazoniki z kwiatami padały promienie słońca, migotliwe, złote w głąb małego pokoiku. I wciskały się w szparę każdą i jakby skrami obsypując postać siedzącą przy stole. Dziwne robiła ona wrażenie w tem otoczeniu. Ogromnie bujne włosy otaczały jakby aureolą twarz o rysach wybitnych, męskich: a z ócz bił cały ogień młodości, królewski duch, płomienny duch wieszcza. To Adam Mickiewicz, który, chcąc brać udział w powstaniu, dla różnych trudności nie mógł przekroczyć granicy — i oto przebywał smutny w zacisznym dworku śmiełowskim, w Wielkopolsce, gdzie go doszła okropna wiadomość o poddaniu się Warszawy i o smutnym końcu powstania listopadowego.

Zbliżał się właśnie wieczór.

W powietrzu było parno i nadzwyczaj cicho.

Tylko dzwony poblizkiego kościółka w Brzostkowie, bijąc na Anioł-Pański przerywały tę ciszę.

Spiżowe tony płynęły z pól wieśniaczych i wdzierały się do serca wieszcza.

Wstał, zbliżył się do okna i stanął w słońcu, wpatrzony w dal, w te drzewa, wioski i ten kościółek brzostkowski, stojący na wzgórzu.

Bo też czarowny stąd widok!

W ostatnich blaskach zachodzącego słońca wieś cała długim szeregiem chat, sadów i zabudowań gospodarskich leżała jak na dłoni przed nim, a za wsią widać było pola i ściany lasów ciemnych i drogi wijące się do góry.

W sercu wieszcza smutek był i żal i tęsknica. Bo stanęło mu przed oczyma nie własne nieszczęście lecz straszna tragedya upadku powstania i jakby płacz tłumiony i jakby łkanie rozpierało mu piersi.

Niebo zda się, współczuło z wieszczem, bo gdzieś na widnokręgu pokazały się ciemne chmury, rosły z szaloną szybkością i przykryły zachodzące słońce.

Zawiało wiatrem raz i drugi i zwolna zaczął padać cień zmierzchu.

Cisza. Ta duszna cisza przed burzą.

Raz jeszcze odezwała się wilga, aby wkrótce trwożnie zamilknąć.

Już słychać było gdzieś w dali głuchy pomruk burzy, już szła ona z swą grozą i ulewą w stronę Śmiełowa, by tu rozszaleć z całą gwałtownością.

Wieszcz stał wciąż przy oknie, zapatrzony w te błyskawice, i gromy bijące w pobliżu. I zdawało mu się, że jako wódz stoi na ogromnem pobojowisku, że drzewa parku, jęczące pod wiewem burzy, to głosy współbraci, proszących go o otuchę na przyszłość.

Zrozumiał. Bo rozpogodziło mu się czoło, błysk geniuszu zajaśniał w oczach i powoli zarysowywała się w duszy wieszcza myśl stworzenia dzieła, którem by się pokolenia całe karmić mogły: tem przyszłem dziełem miał być — Pan Tadeusz.

Burza przeszła, błyskawice zgasły i cała przyroda zajaśniała w nowej, promiennej piękności.

Zarechotały gdzieś chórem żaby.

Wiatr ścichł zupełnie.

Zdjęty urokiem wieczoru wieszcz wyszedł na małą werandę, gdzie go już oczekiwała p. Górzeńska, u kórej Mickiewicz przebywał w gościnie po nieudanej wycieczce za granicę do wojsk powstańczych.

Zeszli do parku.

Wśród starych drzew dziwnie było cicho.

Falami biły tutaj zapachy pogodnej, cichej a tajemniczej wiosny. Idąc aleją powoli zbliżali się do samotnego dębu, ulubionego miejsca Mickiewicza.

Tu stąd roztaczał się jeszcze piękniejszy krajobraz jak z okna mieszkania poety.

Środkiem zieleniła się łąka macierzanką i jaskrami; z boku kępy olch i wierzby a gdzieś w dali sączył się drobny strumyk. Po burzy wszystko jeszcze jaśniejsze, czystsze. Tylko na boku burza zostawiła ślad swej niszczycielskiej potęgi.

Oto tuż przy drodze leżały trzy drzewka, wyrwane z ziemi przez wichurę.

Spostrzegł to Mickiewicz i z tym swoim ujmującym uśmiechem zwrócił się do p. Górzeńskiej ze słowami: dziś trzeba wszystko, co złamane podnosić i pielęgnować.

To mówiąc podniósł latorośle i napowrót w ziemię je wsadził.

Lecz niedługo błąkał się ten uśmiech na jego twarzy, bo znów upadł w dawną, smutną zadumę.

Usiadłszy na ławeczce wsparł głowę na dłoni i gorzkie ostatnich czasów wspomnienia rzuciły się znowu zewsząd na niego.

Już było ciemno w parku, a on jeszcze siedział samotnie pod dębem (P. Górzeńska, widząc ten nastrój poety, oddaliła się.)

Gdy wracał do dworku, był ogromnie spokojny jak człowiek, w którym dojrzała wielka myśl.

. . . .

Zasadzone przez poetę drzewka rosły i wyrosły na potężne drzewa i dziś zda się szumem swoim śpiewają chwałę wieszcza, który, jak kiedyś te latorośle słabe tak dziś pieśnią potężną podnosi i pokrzepia cały naród.

Poznań, w lipcu 1898. *Ewan.*

„Wszystko pójdzie, jak po nitce, jaśnie pani," zapewniała, „i wkrótce ujrzymy naszego Marcelka biegającego jak dawniej po ogrodzie. Ach, jaka to będzie radość."

Irena starała się zachować spokój i przytomność, ale drżała jak we febrze, a zimny dreszcz wstrząsał jej członkami.

Około dziewiątej zajechała kareta przed zamek. Klotylda pobiegła do okna.

„Doktor!" szepnęła.

Potem udały się obiedwie do pokoju chorego, aby zobaczyć, czy wszystko należycie przygotowane.

Marceli przyjął je swobodnym uśmiechem, a ładna jego twarzyczka miała wyraz nadziei i odwagi.

„Czujesz się dosyć silnym, mój synku?" zapytała Irena, tłumiąc łzy.

„O tak, mamo!"

„Nie masz strachu?"

„Nie! Wszakże pragnę tak gorąco chodzić i być znowu zupełnie zdrowym!"

„Ale będziesz musiał tyle jeszcze wycierpieć!"

„Cierpieć?" powtórzył chłopiec. „O, ani setnej części tego zapewne, co już wycierpiałem!"

Irena nie mogła już powstrzymać dłużej łez i głośno płakać zaczęła. Obydwiema rękami objęła głowę syna i przycisnęła ją do piersi, jak gdyby się już nigdy z nim rozłączyć nie chciała.

„Odwagi, jaśnie pani!" szepnęła Klotylda, „pan doktor przyszedł i....."

„Już?" zawołał Marceli.

„Tak!"

„Nie obawiaj się niczego, mamo," prosił chłopiec, „zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. Nauczę się chodzić i wyrosnę na zdrowego, silnego mężczyznę!"

Klotylda dokończyła szybko rozmaitych przygotowań do operacyi, poprawiła jeszcze to i owo, poczem wyszła z pokoju.

Sławny chirurg tymczasem, zbliżył się w towarzystwie dwóch innych lekarzy, niosących ciężką szkatułkę z narzędziami, do łóżka pacyenta.

„No, mój chłopcze?" rzekł wesoło, „jakże się miewasz?"

„Bardzo dobrze, panie profesorze!"

„Wybornie! Zobaczymy teraz, jak puls idzie."

A dotknąwszy na chwilę ręki chłopca, dodał:

„I z tem w porządu, a — więc zaczynajmy!"

Irena zachwiała się.

„Pani baronowa," mówił lekarz dalej, zwracając się do niej, „pójdzie teraz na przechadzkę do parku....."

„Więc nie wolno mi tu zostać?" szepnęła nieszczęśliwa kobieta drżącemi ustami.

Chirurg spojrzał na nią przenikliwie.

„Życzysz pani sobie," rzekł, „aby się dzieło nasze powiodło?"

„Jak możesz pan pytać o to!"

„W takim razie proszę uczynić tak, jak mówię. Gdy wszystko będzie skończonem, zawołam panią!"

Irena rzuciła jeszcze jedno na Marcelka spojrzenie, wyrażające całą miłość i ból jej serca i posłuszna wyszła.

W kilku sekundach położyli lekarze materac na stole i wyjęli narzędzia ze szkatułki.

„Uśpimy cię," mój chłopcze," rzekł chirurg.

„Jestem gotów, panie profesorze!"

Potem nastąpiła w pokoju głęboka cisza.

Irena nie udała się do altany, z której mogła patrzeć na okna sypialni Marcelka. Były to okropne dla niej chwile; w myśli widziała noże, krające ciało jej syna i strumienie krwi, spływające z głębokich ran. Uprzytomniała sobie Marcelka, leżącego na stole, uśpionego, martwego..... O Boże! Czy tylko nie uśnie na wieki! Wszakże zdarzały się także wypadki..... I straszne obawy szarpały jej sercem, rozpacz i zwątpienie odbierały jej zmysły.

„Nie słyszysz nic?" pytała nieustannie stojącej obok niej Klotyldy.

„Nie!"

„Boże! Boże! Jak to długo trwa!"

I zrywała się, chcąc biegnąć do zamku — potem wracała i wpatrywała się w okna, jak gdyby pragnęła przeniknąć wzrokiem szyby i mury.

Operacya nie trwała nawet pół go-

Polski chleb — litewska woda.

„Lubię synów—to nasi przyszli towarzysze“
Mickiewicz.

„*Tęsknota sercu i myślom szkodzi*“ — tęsknota jak rdza przegryza i pali — niszczy i łamie — tęsknota wiąże ręce — obcina skrzydła — gasi słońce nadziei, tęsknota — to noc.

A przecież silny, potężny duch wieszcza naszego tęsknocie tej nie dał się pokonać, a przecież on i w obec niej umiał się oprzeć.

Że Mickiewicz, wygnany wcześnie z Ojczyzny, tęsknił za Litwą i Polską — któż nie wie? Znać to przecie w każdej jego myśli, znać z jego życia, a były nieraz dowody, które świadczyły, iż wielki śpiewak „Pana Tadeusza“ cierpiał nadmiernie. Tęsknił — jednak niedał swych myśli okuć tęsknocie, nie dał jej zgasić nadziei, nie dał sobie rąk związać. Tęsknił — ale leczył tęsknicę pracą i to pracą olbrzymią — wiecznotrwałą.

Podczas jego pobytu w Paryżu, gdy najstarsza córka jego Maryla, wyjechała na krótki czas w Poznańskie, do rodziny, Mickiewicz pisał do niej:

„Gdy będziesz wracała, przywieź mi trochę tamtego chleba. Już tak dawno polskiego chleba nie miałem!“

Czytając te słowa, ból serce przejmuje. O! jakże drogie musiało być wszystko sercu tego wielkiego poety, wszystko, co było ze stron ojczystych, gdy tak tęskni i prosi kawałek chleba z polskiej ziemi, okruszynę tego posiłku z polskich kłosów — polskiego ziarna!...

Lecz w innem miejscu, w wspomnieniach o Mickiewiczu, napisanych przez Władysława Mickiewicza, czytamy znów dowód serdeczny o tęsknocie poety za wszystkiem co ojczyste.

Wyraził on raz życzenie, iż chciałby dostać trochę wody z Niemna, ukochanej swej rzeki. Dowiedzieli się o tem znajomi i gdy była stosowna okazya posłali Mickiewiczowi w flaszeczce trochę litewskiej wody.

Mickiewicz dar ten przyjął z radością i wzruszeniem. Schował jak relikwie. A gdy przyszedł na świat synek maleńki, poeta prosił kapłana, aby przy chrzcie św. do polania głowy dziecięcia użył litewskiej wody.

Tak tułacz-wygnaniec, gdy nie mógł swych dzieci w Ojczyźnie chować, pragnął chociaż kroplami litewskiej wody czoło dziecka obmyć i na wielką miłość Ojczyzny namaścić.

Kruszyna polskiego chleba — kropla litewskiej wody — — były dla niego cennym podarkiem.

Dziś — ma on już blisko wiślane fale — i polskie kłosy szumią niedaleko jego trumny — dziś już i Zygmunt gra nad nim rozgłośnie i dźwięk polskiej mowy słychać w około. Mówił on niegdyś:

— „Lubię synów, to nasi przyszli towarzysze“ — bo widział w przyszłości synów polskich jako szermierzy za wielką sprawę — jako obrońców swobód i wolności. On czoło swego syna skrapiał wodą litewską na chrzest narodowy — — a my dziś — — my synowie tej epoki, która czci pamięć wieszcza czy w synach naszych widzimy synów przyszłości narodowej?.. Polski chleb — litewska woda, te rzeczy, które koiły tęsknotę wieszcza, — są dziś z nami Mickiewicza pieśni, Mickiewicza uczucie żyjące w słowach jego—te niech nam czoła skrapiają jakby chrztem odrodzenia, jakby chrztem namaszczenia, a choć nie jeden z nas

»Zginie, lecz tyle **synom** swym zostawi
»Sławy — nadziei, że staną się zdolni
»Rozerwać jarzmo — i — umierać wolno!«

(Giaur.) *Jadwiga S.*

Złote myśli Adama Mickiewicza.

(W zastósowaniu do chwili obecnej).

»**Ojczyzno moja**! ty jesteś jak zdrowie;
»Ile cię trzeba cenić ten tylko się dowie,
»Kto cię stracił«. — My ją utracili;
Lecz czy wszyscy fęsknimy do niej w tejże [chwili?
Któż innemu celowi pierwszeństwo tu przyzna,
Czy jest co wznioślejszego nad wyraz: Ojczyzna?

»Polak rzuca Ojczyznę, puszcza się w kraj świata
W nędzy i poniewierce żyjąc długie lata,
Walczy z ludźmi i losem, bo mu pośród burzy
Przyświeca ta nadzieja, **że Ojczyźnie służy**‘
Już nas od tego czasu sporo lat oddziela,
Gdyśmy w rzędzie tułaczy mieli Lelewela,
A także Puławskiego, a znim Niemcewicza,
Zaś przed nimi **Kościuszkę**, potem **Mickiewicza**
I innych. Wszyscy wielcy, każdy święty prawie.
Służyli oni dobru Ojczyzny i sławie.

Z. Ludomir.

Serce matki.

Wspomnienie cesarzowej Elżbiety.

Było to przed kilku laty.

Siedzieliśmy we wielkiej altanie różanej w zamku „Gödöllö“, pijąc szampana i słuchając opowiadania mej ciotki, baronowej F......

„Niezwykła to kobieta, nasza cesarzowa“, mówiła ciotka ze zapałem. „Znam ją od tylu lat, i sądziłam, że znam ją dokładnie. Zaszczycała mnie tak często swojem zaufaniem... ale wczoraj... o, jakże zdumiałem, widząc jej dziwny uśmiech i wyraz twarzy tak zimny, odpychający!“

„Więc cesarzowa jest surową i nieprzystępną?“ zapytałam nieśmiało.

„Jest to najlepsza, najszlachetniejsza i najłagodniejsza kobieta w całem pań-

dziny — dla niej jednak był to wiek cały.

Nagle krzyknęła i zerwała się, jak szalona. W otwartem oknie ukazał się chirurg uśmiechnięty i poruszył żywo ręką.

„Woła nas! Woła nas! Wszystko już skończone!“

I nie oglądając się już na Klotyldę, biegła do zamku i bez tchu prawie wpadła do pokoju syna.

Materac był zdjęty ze stołu, naczynia z krwią i wodą usunięte i nic nie zdradzało ciężkiej operacyi, jaka się tutaj przed chwilą odbywała.

Marceli spoczywał w łóżku; odzyskał właśnie przytomność, ale twarz jego niezmiernie była bladą i nosiła wyraźne ślady przebytego cierpienia. Pomimo to, gdy ujrzał matkę, uśmiechnął się i wyciągnął do niej ręce.

„Wolno, wolno, mój chłopcze,“ upominał doktor. „Nie wolno poruszać się!“

„Nie, nie!“ odrzekła Irena, całując z niewysłowioną czułością blade czoło syna. „Doznajesz wielkiego bólu, Marcelku?“

„Nie mamo, wcale nie!“

„Doprawdy?“

„Doprawdy,“ ale cichy, przytłumiony jęk, jaki się mimowoli dobył z jego piersi, zadawał kłam tym zapewnieniom.

„Jestem bardzo zadowolony z naszego pacyenta,“ oświadczył lekarz. „Operacya udała się znakomicie, a teraz mam wszelką nadzieję, że niedługo będzie mógł chodzić!“

Irena ze łzami w oczach uścisnęła rękę dzielnego doktora.

„Ale przynajmniej dwa miesiące musimy jeszcze zaczekać, zanim możemy orzeknąć coś pewnego. Jeżeli nie zajdą żadne komplikacye, w takim razie — zwyciężymy! Jutro muszę wracać do Paryża, ale mój kolega zostanie tutaj i gdyby, broń Boże, miało zajść coś nadzwyczajnego, zatelegrafuje natychmiast po mnie. Myślę jednak, że nie będzie tego potrzeba. Tylko nie trać pani odwagi i cierpliwości.“

Nazajutrz odjechał doktor, Irena zaś siedziała znowu dniem i nocą przy Marcelku, którego zdrowie i siły polepszały się z każdą nieomal chwilą.

I potem nadszedł ów wielki dzień, w którym chłopcu po raz pierwszy wolno było wstać i rozpocząć naukę chodzenia. Dopóki Irena nie widziała go stojącym, nie chciała uwierzyć w pomyślność operacyi. Ale zwolna, po kilku dniach, gdy już o własnych siłach postąpił dwa albo trzy kroki naprzód, nie mogła wątpić, że wszystko udało się jak najlepiej i wtedy szczęście jej nie miało granic. Po trzech tygodniach potrafił już przejść przez sypialnią — po dwóch miesiącach chodził, wolno wprawdzie i ostrożnie, ale sam! Zupełnie sam, bez wszelkiej podpory i pomocy!

„Z każdym dniem lepiej, nieprawda, mamo?“ pytał rozpromieniony.

„Tak, mój synku, nie nadwyrężaj się tylko zanadto!“

„O, nie! Jutro spróbuję już zejść ze schodów! O, gdybym już jaknajprędzej mógł wyjść z tobą, droga mamo, do ogrodu!“

Irena uścisnęła go ze łzami w oczach i dziękowała Bogu gorąco za Jego łaskę i dobroć!

Marceli stawał się z każdym dniem silniejszym i zdrowszym. I nie trwało długo, a wychodził sam już do parku, biegał dosyć nawet prędko i z początkiem wiosny można go było uważać za zupełnie uleczonego.

Kto przed dwoma laty widział okrytego nędznemi łachmanami i przywiązanego do wózka, bladego i wynędzniałego, ten nie byłby nigdy poznał go w owym pięknym, silnym chłopcu o jasnem, swobodnem spojrzeniu i rumianej, pełnej twarzy. Liczył on teraz dwanaście lat i był rzeczywiście nad wiek rozwiniętym, tak pod względem moralnym, jak i fizycznym. Irena kochała go nad życie, on zaś ubóstwiał formalnie swoją matkę.

Ale gdy upłynął jeszcze jeden rok i gdy znów wiosna pokryła drzewa i ziemię wonnemi kwiatami, odezwało się w sercu chłopca wspomnienie Gizeli z taką siłą, że zbierając całą odwagę, rzekł pewnego dnia do matki:

„Mamo droga, jedźmy do Londynu

stwie! Jak dobra wróżka z baśni ukazuje się tam, gdzie bieda i nędza panuje, i udziela chorym i ubogim pomocy swej i wsparcia.

Tysiące nieszczęśliwych otrzymuje dary z jej rąk, a tysiące innych nie wie nawet, że wszystko dobre, jakie im się dostaje w udziale, od niej pochodzi. Więc też naród cały uwielbia ją! Pomimo to jednak.....“

„Cóż takiego?“, pytałam ciekawie.

„Zdaje mi się, że dobroczynność nie uszczęśliwia jej zupełnie. Smutek i przygnębienie obejmują coraz to więcej jej duszę, a oczy nabierają coraz to rozpaczliwszego wyrazu. — I nie ma ani jednej chwili spokoju! Śmierci nie obawia się wcale! Lubi morze wzburzone, lubi dzikie fale uderzające z głuchym łoskotem o ściany okrętu, i otulona w płaszcz gumowy, z czarnym koronkowym szalem na swych bujnych włosach, stoi godzinami na pokładzie swego yachtu, wpatrując się błyszczącemi oczami w szaloną walkę żywiołów. Może czeka z utęsknieniem na chwilę, w której fale morskie ochłodzą jej gorące serce. Życie żadnego dla niej nie ma uroku! Zamiłowanie samotności, a więcej jeszcze powtarzające się od czasu do czasu wybuchy rozpaczy po stracie ukochanego syna — to są powody skłaniające ją do częstego przebywania stromej drogi na Presecco i na skalistej ścieżce Napoleona“.

„Ale cesarzowa sama nie może przecież odbywać takich niebezpiecznych wycieczek!“

„O to właśnie chodzi!“ W takich chwilach każe sobie przywołać towarzysza lub towarzyszkę wyprawy, patrzy na niego uważnie swemi wielkiemi, wymownemi oczami, a gdy spostrzeże najlżejszy cień obawy lub przestrachu, mówi pogardliwie:

„Proszę tu zostać i czekać na mój powrót.“

Cesarzowa jest nieustraszoną i nie lubi tchórzów.“

„Czy panią spotkało kiedy coś podobnego?“ zapytał jeden z gości.

„Niestety!“ odrzekła ciotka. „Miałam jechać z cesarzową do Lainc, ale — za karę — musiałam zostać tutaj“.

Zdumiona spojrzałam na ciotkę, która uchodziła za wzór dworskiej damy.

„Jak się to stało?“ zawołałam. „Jakim sposobem popadłaś w niełaskę cesarzowej?“

„Nie jest to niełaska, ale pomimo to wielkiej doznaję przykrości. Widzisz, moje dziecko, nie jestem już młodą, i wchodzenie na góry sprawia mi teraz już pewne trudności. Cierpię na zawrot głowy i nie umiem już biegać tak prędko, jak dawniej. Ale wiem, że cesarzowa lubi mnie, i że, gdy wróci, wynagrodzi mi swoją szorstkość wspaniałym podarunkiem.

Więc uznaję potem, że była niesprawiedliwą?“

„Niesprawiedliwą? Ależ o tem ani mowy nie ma! Jest to tylko przelotny kaprys! Ma ona charakter szlachetny, dumny, wspaniałomyślny, kocha wszystko, co wielkie i piękne, szydzi tylko i pogardza z małych ułomności i słabości ludzkich.“

„Pisałaś mi, ciotko, przeszłego roku z Korfu, że cesarzowa opuściła po kilkotygodniowym pobycie swój zaczarowany zamek. Czy ów zamek Achilleion jest rzeczywiście tak zachwycającym?“

„Ach, to prawdziwy raj na ziemi! Na wysokiej skale wznosi się pałac, zwrócony frontem do morza. Po drugiej stronie roztaczają się wspaniałe terasy. A jakie skarby, jakie kosztowności mieszczą się wewnątrz! Są tam najprzedniejsze arcydzieła sztuki greckiej, a na opisanie ich nie starczyłyby nawet księgi całe. Za ogrodem ciągnie się lasek, pełen najwspanialszych egzotycznych drzew, dalej namiot Aeolusa, umierający Achilles, wiszące ogrody — jednem słowem — najśmielsze marzenia artysty są tutaj rzeczywistością! U stóp skały leży wieś Gasturi, ukryta w plantacyach oliwkowych. Cesarzowa ukochała ten idealnie piękny kącik ziemi i zna dokładnie każdą ścieżkę, każde nieomal drzewo. Chodziłam z nią często po polach, zasianych wonnym tymianem, i na kwitnących wrzosowiskach, piłyśmy nieraz w chatach wieśniaczych kozie mleko. Mieszkańcy Gasturi ubóstwiali „piękną królowę!“

„I była cesarzowa na Korfu spokojniejszą, niż gdzie indziej, po śmierci arcyksięcia Rudolfa?“

„Osądź sama, moje dziecko! Pewnego dnia wieczorem życzyła sobie jeszcze wyjść na przechadzkę. Zaledwie weszłyśmy do lasku, gdy nagle dało się słyszeć w ciszy nocnej głośne, rozpaczliwe łkanie. Cesarzowa zwróciła się natychmiast w tym kierunku, i wkrótce ujrzałyśmy przy świetle księżyca siedzącą na pniu drzewa młodą jakąś kobietę, płaczącą rzewnemi łzami.

„Dlaczego płaczesz?“ zapytała cesarzowa, „i dlaczego siedzisz tu sama w nocy?“

„Daj mi pokój!“ krzyknęła nieszczęśliwa dziko. „Wzięli mi go! Zabrali mi mego męża, mego Demetryusza, i zakopali w ziemi! Teraz mówią, że jestem wdową, i że mogę wyjść znowu za mąż!“

Cesarzowa, władająca płynnie językiem krajowców, starała się pocieszyć rozpaczoną, ale daremnie.

„Czy ty znasz moją boleść?“ wołała kobieta. „Idź, zostaw mnie samą, ja cię nie znam! Serce pali mi w piersi, a łzy oczy zaciemniają! Nie możesz mi pomódz, idź!“

Wtedy ujęła cesarzowa rękę kobiety, i pociągnęła ją o kilka kroków dalej, — tam, gdzie otoczony cyprysami wznosi się wspaniały pomnik marmurowy.

Wysoki pomnik ten kończy się złamaną kolumną. Na olbrzymim słupie, na którym stoi owa kolumna, siedzi geniusz

---

Wybawmy biedną Gizelę z jej smutnego położenia i przywieźmy ją tu, do naszego pięknego zamku! Jest to mojem najgorętszem, jedynem życzeniem! Oprócz ciebie nie kocham nikogo tak, jak tę, która litowała się wówczas nademną, nieszczęśliwym kaleką!“

Irena zgodziła się natychmiast na prośbę syna i przyrzekła mu, że uczyni wszystko, co będzie mogła, aby odszukać dziewczynkę, również biedną i opuszczoną, jak on był niegdyś. Postanowiła zabrać ją z sobą i przyjąć za córkę, jeżeli Gizela okaże się godną tego.

Marceli nie posiadał się z radości. Oby tylko Gizela była jeszcze u swojej ciotki! Jakie szczęście dla niego, wyrwać ją z szponów niegodziwej kobiety i stworzyć nową dla niej i świetną przyszłość!

ROZDZIAŁ OŚMNASTY.

Wszystkie przygotowania do podróży były już ukończone.

Marceli udał się rychlej na spoczynek — nazajutrz bowiem rano miał z matką wyjechać do Londynu, Irena zaś, także zmęczona, poszła do swego pokoju, przytykającego do sypialni syna.

Późno już było w nocy, w zamku głęboka panowała cisza. Na dworze gorąco było i duszno, jak zwykle przed burzą; silny wicher zginał aż do ziemi wierzchołki drzew i wył przeraźliwie w długich kurytarzach.

Irena zapaliła świecę i chciała się właśnie zacząć rozbierać, gdy prąd powietrza poruszył gwałtownie światłem, które zamigotało i byłoby zgasło, gdyby je nie była szybko zasłoniła ręką.

„Klotylda zapomniała zamknąć okno,“ pomyślała.

Ale zaledwie się obróciła, stanęła jak wryta. Okno rzeczywiście było otwartem, a w niem ukazał się cień mężczyzny. Poznała go natychmiast.

„Alfons,“ szepnęła przerażona.

„Tak, to ja!“ odrzekł szyderczo i jednym skokiem już był przy niej. „Ale jeżeli ci życie miłe,“ dodał, wyciągając rewolwer, „jeżeli nie chcesz, aby ktoś z twej służby padł trupem, to nie wołaj nikogo na pomoc! Przysięgam ci, że zastrzelę każdego, kto wejdzie do pokoju!“

Irena skamieniała. Pierwszą jej myślą był: Marceli! I stała, jak posąg nieruchoma, nie wiedząc, czy to sen, czy okropna rzeczywistość.

„Czego chcesz odemnie?“ rzekła nareszcie cicho, nie chcąc za nic w świecie budzić syna. „Po co przychodzisz tutaj?“

„Po ciebie!“ odpowiedział, a oczy jego błysnęły dziko.

„Po mnie?“ powtórzyła osłupiała.

„Tak! Podług prawa jesteś moją żoną, a żona musi być posłuszna mężowi!“

„I ty śmiesz powoływać się na to prawo, które zdobyłeś za pomocą zbrodni?“

„Im większą jest moja wina, tem większy dowód mojej miłości dla ciebie!“

„O, Boże! Jak możesz mówić o miłości!“ szepnęła w śmiertelnej trwodze.

„Ależ ja umieram z tęsknoty za tobą!“ zawołał namiętnie, a widząc ją drżącą z przerażenia i wstrętu, dodał błagalnie: „Posłuchaj mnie, Ireno! Pozwól mi powiedzieć wszystko, wtedy dopiero jestem pewien, że ulitujesz się nademną. Ty nie wiesz, ile ja cierpię!“

„Miałeś ty litość nad nami?“ rzekła z rozpaczą.

„Byłem nieprzytomny, szalony, namiętność pozbawiła mnie zmysłów! Pomyśl tylko, jak ja cię kochałem! I nigdy, ani na chwilę, nie przestałem cię kochać! Ile razy próbowałem zapomnieć o tobie! Bo chciałem żyć bez ciebie — ale nie mogę! Nie mogę!“

„Milcz!“ zawołała oburzona. „Nie chcę słuchać czegoś podobnego i.....“

„Musisz!“

„Nie! Zbrodnie twoje wołają o pomstę do Boga, a krew Fryderyka plami twoje ręce!“

Mówiąc to, zwróciła się ku drzwiom, ale Alfons zastąpił jej drogę.

„Nie uciekaj,“ rzekł drżącym głosem. „Skończyłem z mojem życiem i jestem na wszystko zdecydowany!“

Oczy jego błysnęły tak groźnie, że

ze spuszczoną pochodnią; niżej zaś znajduje się płaskorzeźba, przedstawiająca popiersie młodego jeszcze mężczyzny. Na dole są na marmurze następujące wyryte słowa:

„Rudolphus.“
Coronae princeps
Archidux Austriae · Hungariae.
Natus die 21. Augusti 1858.
Obiit 30 Januarii 1889.

Jasne promienie księżyca oświecały lśniący marmur i stojące przed nim kobiety. Chwili tej nie zapomnę nigdy!

Wysoka, wysmukła postać cesarzowej pochyliła się lekko.

„Patrz“, szepnęła cicho, wskazując na pomnik, „ten zimny kamień jest wszystkiem, co mi zostało po jedynym, ukochanym synie! Myślisz teraz, że pojmuję twoją boleść serdeczną?“

Wieśniaczka upadła na kolana.

„To ty!“ jękła głucho, „ty! królowa Gasturi! Ach, przebacz! przebacz!

Tej nocy żadna z nas nie zmrużyła oka. Gdy wróciłyśmy do zamku, rzuciła się cesarzowa na ziemię, i ukrywając głowę w poduszkach kanapy, płakała konwulsyjnie. Dla mnie nie była ona teraz „cesarzową austryacką“, tylko nieszczęśliwą matką, której serce krwawiło się na nowo bólem i rozpaczą.

Nazajutrz rano opuściłyśmy Korfu zupełnie niespodziewanie, i nie wiem, czy i kiedy ujrzę raz jeszcze ten czarowny kąt ziemi!

Cesarzowa umarła! I w Gödöllö kwitnęły róże w tym roku tak pięknie i kwitnąć będą w przyszłości, ale ona już nie będzie się już upajać ich czarem.

Róże zamienią się w nieśmiertelniki.

M. P.

W ŚWIAT.

Ta samotność już mnie nuży,
Wezmę lepiej kij pielgrzyma,
Co tu robić będę dłużej,
Gdy jedynej mej tu nie ma?

Gaśnie słońca tarcza złota,
Niebo słonią chmury szare,
Taki czas i taka słota
Budzą w sercu wspomnień marę.

Gdzie się kończy wieś uboga,
Senna wierzba cicho stoi,
Od tej wierzby wiedzie droga
Do dziewczyny drogiej mojej.

Ucałuję siostrę, brata,
Do nóg schylę się rodzica,
Wszyscy rzekną: ciężka strata,
Matce łzami spłyną lica.

I w świat pójdę, w świat nieznany,
W tę samotną długą drogę,
Bo bez mojej ukochanej,
Ja tu dłużej żyć nie mogę.

Niech tam stopy moje ranią
Głogi, ciernie, osty, skały,
Ja tam pójdę, pójdę za nią,
Choćbym krwią się zalał cały!

W dłonie wezmę ziarnka żyta,
I co krok to rzucę jedno,
Niech wyrasta, niech zakwita,
I ptaszynę karmi biedną.

Z każdem ziarnkiem, co wśród drogi
Z mojej drżącej padnie dłoni,
Będę bliżej mej niebogi,
Co tam z bólu łezki roni.

W południowej świata stronie,
Stoją Tatrów śnieżne szczyty,
A nad niemi słońce płonie
I kołyszą się błękity...

Tam, gdy szczyty te świetlane
Me źrenice w krąg ogarną,
Gdy u stóp tych szczytów stanę —
Tam ostatnie rzucę ziarno!...

Wiktor Dzierżanowski.

Listy z Zapiecka.

Kochany Redaktorze! Widzę z łaskawego Twego zaproszenia, że chętnie będziecie udzielać miejsca w „Pracy“ wieściom z naszego starożytnego grodu Zapiecka. Widząc jednak, że żadne bliższe szczegóły tutajszego naszego życia społecznego, narodowego i politycznego nie przedostają się do wiadomości szerszego ogółu, muszę w dzisiajszej korespondencyi mej podać wam bliższe szczegóły statystyczno-geograficzne o Zapiecku.

Zapiecko należy do szeregu bardzo starożytnych miast polskich. Wskazuje na to zresztą już sama nazwa, przypominająca Dubiecko, Kłecko, Mieścisko itd. Pewien profesor literatury i zawołany lingwista, odnosi początki istnienia miasta do czasów krzyżackich. Już bowiem wtedy mieszkańcy Zapiecka odznaczali się tem, że gdy ich współbracia okoliczni szli na wroga, oni woleli siedzieć za piecem. Stąd nawet poszło przysłowie: „Siedzi jak u Pana Boga za piecem“ — co znaczy mniej więcej tyle, że jest obywatelem zapiecańskim. Zajrzawszy do leksykonu pod literą Z, znajdujemy tam następujące szczegóły o Zapiecku: Starożytne miasteczko, opasane murem z czasów napadów krzyżackich, położone jest w pięknej równinie, okolonej górami i opasane rzeką. Leży w bliskości najważniejszych punktów prowincyi, będąc odległem o 5 mil od Poznania, 3 mile od Bydgoszczy, a 2 mile od Krotoszyna. Liczba mieszkańców wynosi mniej więcej od 1 tysiąca do 5 tysięcy. Poczta

---

Irena czuła się straconą. I już chciała wołać o pomoc, ale przypomniała sobie to, co powiedział. Wołanie jej obudziłoby Marcela i stałaby się przyczyną niechybnej jego śmierci, musiała się więc bronić sama.

„Nie waż się dotknąć mnie!“ zawołała rozkazująco. „Nienawidzę cię i pogardzam tobą!“

Alfons cofnął się mimowoli, ale zaraz potem rozśmiał się głośno.

„Ach, liczysz pewnie znowu na to, że ujrzę ducha,“ rzekł szyderczo, „ale ja nie wierzę w duchy, tylko w ciebie! Ty jesteś moją i żaden duch nie wydrze mi mojej własności!“

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i Marceli stanął na progu.

„Co się tu dzieje, mamo?“ zapytał zdumiony.

Alfons zaklął straszliwie i już zamierzał zwrócić się do niego, gdy Irena, prędko, jak myśl rzuciła się pomiędzy nich i objęła Marcelka, zasłaniając go własnem ciałem przed kulą Alfonsa.

„Mój syn!“ krzyknęła z rozpaczą.

Nędznik zaś spojrzał przerażony na chłopca.

Jej syn? Jaki? Marceli? Ależ Marceli był kaleką, wlokącym się z trudnością po ziemi!

„Oszalałem pewnie,“ szepnął. „Że mi też ciągle ten syn jej wchodzi w drogę!“

„Tak!“ zawołała Irena w najwyższem uniesieniu, „to syn twojej ofiary, podły morderco! Oby cię Bóg ukarał za twoje zbrodnie! I chociaż sprawiedliwość na ziemi nie dosięgnie cię może, to kiedyś odpokutujesz ciężko za wyrządzone nam krzywdy. Bądź przeklętym na wieki, nędzniku!“

Szybkim ruchem ręki dotknęła dzwonka elektrycznego, a głośny dźwięk jego rozległ się w całym zamku.

Alfons pienił się z wściekłości.

„Przegrałem tym razem,“ krzyknął, „ale rachunek nasz nie jest jeszcze skończonym! Zobaczymy się, czy prędzej, czy później, a wtedy, biada wam!“

I zanim Irena zdołała odpowiedzieć, otworzył okno i zniknął w ciemności.

Nazajutrz wyjechała baronowa z synem do Anglii.

Gdy Marceli stanął w Londynie i ujrzał dobrze sobie znane ulice, doznał dziwnego wrażenia. W mieście tem przebył najokropniejsze męczarnie; jako nieszczęśliwy kaleka czołgał się od domu do domu, bez żadnych widoków lepszej przyszłości.

Dziś, gdy myślał o tem, mniemał, że wszystko to było snem strasznym i z przerażeniem wyobrażał sobie, czem byłby teraz, gdyby zrządzenie Opatrzności nie było sprowadziło Kalota do zamku Turnor.

Irena wynajęła powóz i tak jechali oboje przez rozmaite ulice stolicy. Drobny deszcz padał nieustannie, mgła zasłaniała domy — Londyn przedstawił im się więc tak, jak wyglądał prawie codziennie, to jest, na bruku pełno było błota, z dachów spływały strumienie wody, a gęsty dym unosił się nad miastem, jak czarna, ogromna chmura.

Raz po raz wskazywał Marceli swojej matce ulice i obszerne place, na których niegdyś stał, jako żebrak, a serce Ireny strasznym ściskało się bólem. Zdawało jej się, że każdy kamień opowiada historyą cierpień jej syna, gdy się zaś zbliżyli do nędznego, brudnego, nawpół zapadłego domu, w którym przebył najsmutniejsze lata swego życia, wtedy głośnym wybuchnęła płaczem.

I objąwszy go ramionami, jak gdyby jej go wydrzeć usiłowano, szepnęła wzruszona:

„Jakże nieszczęśliwym musiałeś tu być, mój synku ukochany! Czy podobno, aby tu kto mieszkał? I właśnie ty żyłeś w tej okropnej jaskini! O, nigdy tego nie zapomnę, nigdy!“

Marceli kazał stanąć dorożkarzowi i wyskoczył z powozu, chciał bowiem zobaczyć, co się dzieje z owymi dwoma łotrami, którzy go tak męczyli i wyzyskiwali.

Na kilkakrotne pukanie do drzwi żadnej nie otrzymał odpowiedzi. Nie namyślając się więc długo, nacisnął klamkę i wszedł do pokoju, w którym tyle bezsennych nocy i strasznych dni przepędził. W półcieniu, jaki tu panował, nie mógł

jest, ale zamknięta, bo od lat dziesięciu już nikt z mieszkańców listów nie pisał, ani nie odbierał. Telegraf jest także, ale nieco zepsuty, bo rdza druty przegryzła.

Tyle mówi ta krótka wzmianka. — Oczywiście jest to nie wiele, więc też postaram się podać bliższe szczegóły. Już od trzech dni zabierałem się do napisania dla Was korespondencyi, ale to u nas rzecz nie łatwa. O pióro mniejsza, gęsi jest tu dosyć, a zaostrzyć piórko nie sztuka. Ale atrament — to przecież grunt, tymczasem w Zapiecku o to trochę trudniej. Posłałem Kasię wczoraj po atrament, jak szła po sprawunki do miasta. Ale dziewczynie amory tylko we łbie, więc nic dziwnego, że zapomniała co ma być i „na wszelki wypadek“ — jak się tłomaczyła — przyniosła pół butelki wiśniówki. No, dobra i wiśniówka, ale atramentu nie zastąpi. Nazajutrz więc napisałem jej korkiem palonym na okładce od książki od nabożeństwa: „atrament“ i posłałem z tem do Jankiela, bardzo sprytnego żydka, miejscowego finansisty, który ma mąkę, kaszę, piwo, śledzie i inne materyały piśmienne (tak jest napisane na szyldzie); a obok tego utrzymuje restauracyą i hotel, przytem pożycza pieniądze na 10 procent (na miesiąc). Myślę sobie, teraz mi chyba dziewczyna przyniesie atramentu... Ale gdzietam: to głupie cielę wraca zabeczana i powiada mi, że do żyda nie pójdzie, i żebym ją do grzechu nie namawiał. Zwaryowała, czy co, myślę sobie — aż tu mi dalej tłomaczy, że grzechem jest do żyda nosić katolicką książkę do nabożeństwa i beczy przytem, jak utrapienie... Nie było innej rady: wydarłem jednę czystą kartę z kalendarza, który od 20 lat zaspakajał potrzeby duchowe mojej gospodyni, i posłałem jeszcze raz Kasię. Wraca, widzę po niejakimś czasie moją Kasię z atramentem; a zalewa się rzewnemi łzami, obcierając oczy fartuchem. — „Co ci jest?“ — huknąłem na nią, a ona (słuchajcie!) sięga po moją rękę, i jak nie ryknie płaczem: „O, panoczku kochany, co my ta nieszczęśliwe sieroty poczniemy, jak nam Pan Bóg powoła go do Swej wiekuistej chwały!“

I zaczęła zawodzić, aż psy jej zaczęły wtórować. Jeszczem się nie zdołał jej wypytać, co to takiego ma znaczyć, aż tu patrzę leci, cały zdyszany, Jankiel i wpada wprost na mnie, a wyciągając rękę na przywitanie, mówi: Uff, to jeszcze pan chodzi o własnej mocy — to jeszcze może Pan Bóg odmieni. Ja już się tak bałem, jak o rodzoną ciotkę od mego kuzyna. Myślałem, że już jest *schluss* z panem i że Pan umiera!“

„Zdrów jestem u stu piorunów i umierać nie myślę!“

„Ny,“ odpowiedział Jankiel z uśmiechem dyplomaty, ja już Panu najlepiej życzę, co by un buł zdrów, jak ten szczupak, co go na szabes moja żona szykuje — ale, proszę pana, na co panu atrament, jeżeli nie do pisania testament?“

Zagadka się wyjaśniła, Całe miasto myślało, że już umieram i nawet był stolarz z wizytą aby wziąść miarę na trumnę. Tyle to rumoru narobił ów nieszczęsny... atrament. Ale nawet na tem się nie skończyło. Bo oto wszechwładna policya zaczęła zadawać sobie pytanie: po co mu też atrament? Co on takiego pisze? — i śledzą mnie teraz na każdym kroku.

Ponieważ, jak już mówiłem, Zapiecko leży przy trakcie prowadzącym z Poznania do Inowrocławia przez Bydgoszcz, więc też zawitał do nas kiedyś pewien wędrowny agitator niemiecki. Zebrała się ludzi chmara na rynku, służący od magistratu chodził z dzwonkiem po wszystkich ulicach i wołał, że kto się nie zjawi, tego pan burmistrz wsadzi na większe podatki — więc też wszystko szło słuchać Niemiaszka, jedni z ciekawości, inni dla rozkazu.

Niemiaszek więc, w kusym obcisłym kubraczku, ze zwojem papierów pod pachą, w okularach i miną niezbyt pokaźną, wlazł na podwyższenie, sklecone naprędce z desek, a gdy go burmistrz nam przedstawił, on złożył ukłon na wszystkie strony i zaczął prawić. Prawił on z pół godziny może w ten sposób: „Jesteście spokojnymi, porządnymi obywatelami państwa pruskiego. Macie wasze sady, wasze domy i inne posiadłości, macie rodziny i jesteście szczęśliwi. Komu to zawdzięczacie? — Państwu, czyli rządowi pruskiemu, bo on wam prowadzi hypoteki waszych posiadłości, on stoi jak mur za plecami każdego z was, i praw waszych broni. Gdyby rząd hypotek, i prawa własności nie bronił, pierwszy lepszy złodziej mógłby na wasze dobro mówić, że to jego. — Są jednak między ludźmi, mówiącymi waszą gwarą, ludzie, co nie chcą być wdzięczni za te dobrodziejstwa królowi i podburzają was i prowadzą polską agitacyą. Nie wierzcie im, wybierajcie konserwatystę, nie zaś ludzi, którzy dokuczać chcą Jegomości waszemu królowi, was szczerze miłującemu.“

Po tej przemowie wezwał mówca do dyskusyi. Wtedy wstał jeden z naszych i tak go zapytał: „A jaką też gwarą mówi Jegomość nasz król?“ (czy dawniej nie było nam tak samo dobrze, a raczej lepiej, niż teraz, czy to za tak grube podatki mieliby jeszcze nie czuwać nad prawem, a do czegoż byście byli — hę? — Zresztą czy my was prosili o waszą opiekę? — A bodaj was.....)

Na to zapanowało na trybunie przykre milczenie, potem szepty burmistrza z mówcą. Nie dając odpowiedzi, mówca zabrał się, i zlazł z trybuny, a ktoś słyszał, jak ze zaciśniętych ust wyrzucił tylko słowa: „*Verfluchte Bande!*“

Więcej chowam na później, i ślę wam ukłony.

Rrr.....

---

z początku nic prawie dojrzeć; zdawało mu się też, że nikogo nie ma i już zamierzał odejść, gdy nagle cichy jęk z ciemnego kąta doszedł jego uszu. Marceli znał ten głos; był to starszy brat żebrak, który całemi dniami leżał pijany, wracając raz po raz tylko do przytomności, aby znowu pić wódkę i spać dalej.

Cicho, ostrożnie, zbliżył się do łóżka i rozsunął podartą firankę. Odrażający widok przedstawił się jego oczom. Obydwaj bracia leżeli z otwartemi oczami, nieruchomi i znajdowali się widocznie w najwyższem stadyum pijaństwa. Bóg wie, jakie straszne widma przesuwały się przed nimi—obydwaj bowiem mieli twarze, wykrzywione przerażeniem i krwawą pianą na ustach.

Marceli cofnął się ze wstrętem i wybiegł z pokoju. Gdy Irena dowiedziała się od niego o cierpieniach tych nędzników, zawołała pierwszego lepszego policyanta i prosiła go, aby się zajął nimi, zostawiając znaczną sumę na przeniesienie ich do szpitala. Taką była zemsta szlachetnej kobiety na tych, którzy męczyli lata całe jej syna.

W końcu, po długiej dosyć podróży, stanęła dorożka przed sklepem kwiatów, którego właścicielką była ciotka małej Gizeli.

Marceli drżał z wzruszenia i niepokoju.

„Ach, to tutaj!“ szepnął ze łzami w oczach. „Patrz mamo,“ dodał wskazując na przeciwległą bramę hotelu, „tutaj stałem godzinami i prosiłem przechodzących o jałmużnę. I tu zobaczyłem i rozmawiałem po raz pierwszy z Gizelą!“

Irena objęła głowę syna i ucałowała go czule.

„Wszystko to już minęło,“ rzekła przytłumionym głosem. „A teraz bądź odważnym i nie obawiaj się niczego!“

Potem weszli oboje do sklepu.

Marceli obejrzał się uważnie — Gizeli jednak nie zobaczył. Nic też nie zdradzało jej bytności w mieszkaniu — nigdzie nie leżała ani książka, ani robótka, ani żaden inny przedmiot, należący do dziewczynki w jej wieku.

Po chwili ukazała się właścicielka sklepu, pytając o życzenia wytwornych gości.

Irena zamówiła bukiet róż i kazała go przysłać sobie do hotelu na oznaczoną godzinę. Kupcowa zapisała nazwisko jej w książce, poczem zawołała jednej z swych uczennic, w celu wydania jakiegoś rozporządzenia. Młoda, ciemnowłosa dziewczyna wyszła z przyległego pokoju i stanęła za stołem.

„Czy to Gizela?“ szepnęła Irena.

„Nie, mamo!“ odrzekł chłopiec.

„Nie mieszkała dawniej u pani pewna dziewczynka, imieniem Gizela?“ zapytała Irena kupcowej.

„Gizela?“ odpowiedziała kobieta, marszcząc gniewnie czoło.

„Tak! Co się z nią stało?“

„O, uciekła odemnie, niewdzięczna,“ zawołała kupcowa pogardliwie.

„I pani nie wiesz, gdzie ona znajduje się obecnie?“

Kobieta spojrzała podejrzliwie na Irenę i rzekła szorstko:

„Więc pani interesujesz się nią?“

„Tak. Dziewczynka ta podobała mi się bardzo.“

„Więc słuchaj pani!“ krzyknęła stara uniesiona gniewem. „Wzięłam ją do siebie z miłosierdzia i łaski, a ta niegodziwa, leniwa dziewczyna uciekła! Co się z nią stało, tego nie wiem, ale cieszę się, że w ten sposób pozbyłam się kłopotu z nią. Może być, że wróciła do Francyi, może zginęła, umarła! Co mnie do tego!“

Może być, że kupcowa rzeczywiście nic więcej nie wiedziała, w każdym razie niczego już nie można było dowiedzieć się od niej. Marceli był w rozpaczy.

„Pojedziemy do Paryża,“ pocieszała go matka. „Postaram się tam o najlepszego agenta policyjnego i ten z pewnością odszuka ją. Nie płacz, mój synku ukochany! Jeżeli Gizela żyje, w takim razie znajdziemy ją!“

Tego samego dnia jeszcze opuściła Irena z synem Londyn i udała się do Paryża.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pierwszy snop.

„W imię Ojca, w imę Syna...“
Wita krzyżem stary chłop
Przyniesiony do stodoły
Pierwszy z pola żytni snop.
Ukląkł zbożnie na klepisku
I całuje chlebny kłos.
Na słomianą okiść kładzie
Siwą głowę, siwy włos!
„Cleba — Panie! powszedniego...“ —
W modlitewny szepce ton —
„Chleba Panie! daj na życie!
„Wiązkę słomy daj na zgon!“
„Niech zarodzi Wola Twoja
„Czystem ziarnem bujny stóg!
„Witaj chlebie! w chłopskim progu
„Z Bogiem! z Bogiem! za nasz próg!“
I znów chyli się w ramiona,
Obejmując kłosny snop....
Ziemio rodna! kłosy twoje...
Jak i twoim jest ten chłop!
Ziemio matko! daj im społem
Pod twem niebem szczęśnie rość!
Czarny chlebuś miej dla tego,
Co kość z kości twoja kość!
Czarny chlebuś miej dla tego,
Co od wieka strzeże soch,
Co się w twoim rodzi prochu
I zamieni się w twój proch!
W imię Ojca, w imię Syna!
Ródźże, matko ziemio, ródź!
Chleb powszedni — dla żywota,
Na skonanie — żytnią kłoć!

K. Laskowski.

Kronika żałobna.

† **W otoczeniu** 30-tu kapłanów poprowadził w zeszłą środę ks. proboszcz dr. Lewicki kondukt żałobny, towarzyszący zwłokom ś.p. *Julii Kałkowskiej*, siostry księdza wikaryusza K. od św. Marcina. Za trumną postępowała zbolała rodzina zmarłej w kwiecie wieku dziewicy, oraz ogromny zastęp publiczności, która swem licznem zebraniem się na ten akt żałobny dała wyraz swemu współczuciu i żalowi. Piękne wieńce i kwiaty pokrywały trumnę Zmarłej. Niech Bóg duszę jej przyjmie do Swej chwały!

Ś. p. ks. Augustyn Kużel, proboszcz w Sarnowie, dekanacie chełmińskim, umarł nagle, rażony paraliżem, w 54 roku życia a 27 kapłaństwa.

Wiadomości.

Szanownym Abonentom przypominamy, że

jeszcze czas zaabonować „PRACĘ“ na nowy kwartał.

W nowym kwartale nie mniej, lecz jeszcze gorliwiej starać się będziemy, aby „Praca“ udoskonaleniem i poczytnością swoją torowała wstęp do wszystkich rodzin, zakątków i dzielnic, gdziekolwiek żnicz naszej prastarej wiary nie wygasł a tętno narodowe bić nie przestało!

„Praca“ w nowym kwartale tak samo jaki dotąd odznaczać się będzie doborową, obfitą treścią, przynosić Szanownym Czytelnikom nowiny najnowsze, a zarazem przyczyniać się do podniesienia i rozkwitu naszego handlu i przemysłu.

KTO

zatem dotąd nie zaabonował jeszcze

„PRACY“

niechaj to uczyni bezzwłocznie, gdyż już największy czas do tego.

„PRACĘ,“

która zapisaną jest w cenniku gazet pod rubryką (Abtheilung II t. poln. Nr. 86), ***najwygodniej zapisać na poczcie.***

Każdy nowoprzybyły abonent otrzyma — *za nadesłaniem kwitu pocztowego i 10 fenygów na porto* — zaległe numery oraz bardzo zajmującą powieść „Potwory“, i to od samego początku *bezpłatnie* a nadto dwa pięknie ilustrowane numery poświęcone jubileuszowi Ojca św. i naszego nieśmiertelnego wieszcza Adama Mickiewicza i to również *bezpłatnie*.

Szanownych Czytelników, którzy poznali usiłowania i dążenia naszego pisma, prosimy usilnie o łaskawe poparcie przez rozdawanie okazowych numerów „Pracy“ krewnym, przyjaciołom i znajomym — zachęcając ich do licznej przedpłaty, w interesie wspólnej sprawy.

Każdy kto tylko zażąda — otrzyma natychmiast każdą ilość numerów „Pracy“ w celu rozdania takowych na okaz gratis i franko.

Szanownych Czytelników prosimy usilnie o łaskawe rozdanie załączonych kartek pomiędzy krewnych, przyjaciół i znajomych.

Kto pragnie następny numer „PRACY“ otrzymać punktualnie, niech idzie natychmiast na pocztę, w celu zapisania sobie pisma naszego.

Właśnie w nowym kwartale obmyśliliśmy kilka bogato ilustrowanych numerów, a mianowicie numer gwiazdkowy zadowolni każdego czytelnika.

Wobec setek listów bez ustanku nadchodzących i różnorodnej korespondencyi — dopiero w przyszłym tygodniu będziemy w możności na takowe odpowiedzieć.

Za łaskawą życzliwość okazaną nam z wszech stron — niniejszem serdecznie dziękujemy. *Redakcya.*

Z wysyłką powieści i numerów jubileuszowych rozpoczniemy już najpóźniej w poniedziałek. *Administracya.*

Znowu dobra wiadomość. Folwark Żabikowo pod Poznaniem od Żydów: Moritz Viktor, Ephraim i Ska, nabył *za pośrednictwem firmy Drwęskiego & Langnera — Centralnej Agentury Dóbr w Poznaniu* — rodak nasz, p. Tomasz Małecki, właściciel Ławicy pod Poznaniem za 161,000 mk, co uczyni przeszło po 100 talarów za morgę.

Żabikowo znane jest z swej złotodajnej gleby oraz z polskiej letniej kolonii feryjnej; prócz tego znane jest też Żabikowo z dawniejszej polskiej szkoły agronomicznej a skasowanej w czasie kulturkampfu.

»Szczęść Boże« nabywcy!

Ks. prałatowi Warmińskiemu składali w zeszłym tygodniu w mieszkaniu jego przedstawiciele dawniejszych jego uczniów, a dzisiaj kapłanów, serdeczne życzenia z okazyi 25-letniego jego jubileuszu kapłaństwa. Jako dary jubileuszowe ofiarowali mu wspaniały kielich do mszy św. i bogaty mszał z odpowiednią dedykacyą. W imieniu najstarszych uczniów ks. Prałata, przemawiał ksiądz dr. Sypniewski, prob. Wytomyśla. W imieniu byłych uczniów niemieckiej narodowości przemawiał ks. Józef Klinke, wikaryusz przy kościele pofranciszkańskim w Poznaniu. Jako przedstawiciel najmłodszych kapłanów, którzy wyszli z pod ręki ks. Prałata, przemawiał ks. Gierłowski, mansyonarz farny. Ks. Prałat, wzruszony do głębi, dziękował w serdecznych słowach byłym swoim uczniom za okazane mu serce, a następnie wszystkich gościnnie u siebie przyjmował.

Egzamin. We Wejherowie zdali egzamin dojrzałości prymanerzy pp. Józef Czardowski i Stanisław Warczewski.

Wskutek coraz większego wzrostu liczby naszych czytelników — postanowiliśmy dla ułatwienia zamówień na „Pracę“ oprócz urzędów pocztowych — ustanowić jeszcze agentury prywatne, w których także każdego czasu pismo nasze zaabonować i odbierać można i to:

W Poznaniu.

1. ul. Berlińska 12. *S. Lisiewicz.*
2. „ Bramkowa 12b. *M. Matuszak.*
3. „ Chwaliszewo, W. *Zieliński*, drogerya.
4. „ Długa 8, *W. Piotrowski.*
5. „ Fryderykowska 29. *J. Wawrzyniak.*
6. „ Łąkowa 16, *M. Wiza.*
7. „ św. Marcin 45, *M. Sobecki jr.*
8. „ „ „ 19, *J. Suppert.*
9. „ „ „ „ Księgarnia *A. Cybulskiego.*
10. „ Małe Garbary 4, *M. Leszczyńska* (Piek.)
11. „ Nowa 6. *K. Siemiątkowski („Gloria“).*
12. „ „ Księgarnia p. *N. Kamińskiego i Sp.*
13. „ Piekary 24, *W. Rybacki.*
14. „ Półwiejska 5, *K. Kałdykiewicz.*
15. „ Rycerska 11, *W. Kostrzewska.*
16. „ Stary Rynek 8, *Centralna Drogerya.*
17. „ Strzelecka 33, *J. Pendowski.*
18. „ Szeroka 14, *M. Mondré.*
19. „ „ 4, *J. Majewski.*
20. „ Wielkie Garbary 51, *T. Lewandowski.*
21. „ Wiktoryi 16, *P. Dzikowska.*
22. „ Wilhelmowska Księgarnia *J. Leitgebra.*
23. „ „ „ 14, *W. Weichmann.*
24. „ Wodna 8. *St. Woyniewicz.*
25. „ św. Wojciecha 26, *A. Rybka.*
26. „ Wrocławska 29, *St. Chociszewski.*
27. „ Wroniecka 19, *J. Żyburski.*

W Jeżycach.

1. ul. Berlińska Wielka 51, *S. Szulc.*
2. „ Fryderyka 13, *J. Prokop.*
3. „ Moltkego 1, *J. Matusik.*
4. „ Poznańska 7, *Wankowiak.*
5. „ „ „ 29, *P. Mitulska.*
6. „ Wilhelma 21, W. *Musiał.*
7. „ Wawrzyńca 20, *Kulczyk.*

Św. Łazarz:

Głogowska ul. 77. *Antoni Kaczmarek.*

W Grodzisku:

W. Aleksandrowicz.

W Gnieźnie:

Ul. Trzemeszeńska 19, *R. Majerowicz.*

W Wrześni:

Oberzysta, *T. B. Modrzejewski.*

W Górnym Śląsku:

1. Król. Huta, *Aegidius Komendziński.*
2. Proszowice — *Franciszek Zagola,*
3. Rozdzien — *Franciszek Pluszczyk,*
4. Rybnik — *J. Scholtysek.*

W Rönnebeck:

Franciszek Lamperski.

Administracya „Pracy“ w Poznaniu
Rycerska 38.

Humorystyka.

Fundacya narodowa.

Za obszerne i nudne wyrozumowanie
Wymowniej nieraz stokroć trafny przykład stanie;
Ale to jest nasza nieszczęsna przywara,
Nie cierpiemy porównań, rzecz znana i stara...
»Na Czechów się patrzcie!« Jeśli tak kto powie,
Mówimy: Fałszywi są w każdem swem słowie.
»Bierzcie przykład z Francuzów!« Nowe sły-
[chać krzyki:
Ależ nie mów nam o nich, to są niewdzięczniki.
»Hej, energia Węgrów nam-by się przydała...«
Et, węgierska ojczyzna, ta całkiem zżydziała.
»Bodajto spryt mieć taki jak mają Angliki!«
Winszuję, a wszak ten naród składają kupczyki,
»Trzebaby koniecznie wyjść jakoś z Moskalem..«
Czyś oszalał? Więc zgody chcesz owcy z szakalem?
O Niemcach i nie mówię. »Lud bojaźni bożej«
Tak ruguje, że bezbożnik nie rugowałby gorzej.
Tu nasz wstręt choć największy, usprawiedliwiony;
Lecz czy nam już przykładu niebrać z żadnej
[strony?
Czy my to już naprawdę tacy doskonali?
Nie budujmy na kłamstwie, bo gmach się zawali.
Posłuchajcie przykładu, pokrzepcie nim ducha.
Kto przykładów nie lubi, ten niechaj nie słucha.

Lat kilka, jak to Węgrzy wśród ministrów mieli
Męża wielkiej zasługi. Barosz Gabryely
Ministrem był dla handlu. Człek nadzwyczaj
[prawy,
Pracował dla ojczyzny i dobra i sławy,
A gdy umarł dla dzieci nie zostawił grosza,
Więc wziął biskup w opiekę te dzieci Barosza,
Książę prymas Vaszary, córeczkę i syna.
A naród zasług ojca też nie zapomina.
I przed Dworcem Owoców pomnik stawia sławy
A zarazem uczynek drugi spełnia prawy:
Stutysięczną swą składkę na cele pomnika,
Komitet jedną ćwiercią nadwyżki zamyka,
I dzieciom Baroszowym nie mniej i więcej,
Oddaje ten kapitał ćwierć setki tysięcy.
Gdy kraj ojcu zawdzięcza, że jest w dobrobycie,
Więc dba o sieroty po nim należycie.

* * *

Różni w świecie są ludzie, różne obyczaje:
U nas cud, gdy się komu zasługi przyznaje...

Z. Ludomir.

Z teki pesymisty.

Choć świat taki piękny, jak wielu powiada,
A zwłaszcza gdy wiosna zawita;
Dla mnie on uroku tyle nie posiada,
Bo nie mam pieniędzy — i kwita!

Ta zieleń łąk, lasów kwieciem przetykana,
A ranną mgłą jeszcze spowita,
Piękna, lecz nie dla mnie, takiego profana,
Co próżną ma kieszeń — i kwita!

I ptasząt śpiewanie—i lasów szum smętny,
Już więcej za serce nie chwyta;
I zapał przeminął młodzieńczy, namiętny,
Bo dziury w kieszeni — i kwita!

Miłości też znaleść nie mogłem na świecie,
Choć serce się o nią wciąż pyta;
A wiecie kochani, dlaczego? czy wiecie?
Bo brak mi mamony — i kwita!

Juliusz.

POCIESZYŁ GO.

— Czyś ty się ożenił?

— Tak jest. Przyznam ci się, że już sobie rogi poutrącałem.

— Co tam z tego, kiedy żonaci znowu rogi dostawać zwykli.

Rezolut.

Powiadają, że chłop głupi —
Bojki! — jak se ziemie kupi,
Misko na ni i w ni gzebie
I siedzi se jakby w niebie —
Prowda — sprawią wsyscy święci,
Bica z piochu cłek nie skręci,
Ale siedzi, radli, oze,
I pracuje tak jak moze,
A nie puści choć mu bieda,
Na grunt Mimca ani Zyda.
Pon nie lubi słuzebności,
Pani miwo w domu gości,
A pragnie hedukacyi:
Więc do miasta z tej racyi —
I z pradziadów swych ustroni,
Zmyko, choć ją nikt nie goni,
Ha! — zmykojta! — Pany, panie!
W wase miejsce chłop zostanie
Ziemię, co wziął od pradziadka,
Będzie bronił do ostatka.

Mazur.

W sądzie gminnym.

— Dla czego to Wojciechu ścięliście sosnę w cudzym lesie?

— Gdzie zaś prześwietny sądzie, jabym się takiego grzechu dopuścił? Jeno jechałem bez las i zawadziłem osią, sośnisko było spróchniałe, przewoliło mi się na furę i tylo, a juzem nie zdejmował, bo nie mogłem dać rady.

Z CHWILI.

...Ledwie przyjdzie w jaką stronę,
U sąsiada bierze żonę,
Potem jemu siostrę daje
I tak szwagrem z nim zostaje.
I to wszystko nie z miłości
Wróg ten robi, lecz z chytrości.
Gdy porośnie trochę w pierze
Lepiej się do rzeczy bierze:
Do dziedzica korny idzie,
O włódarza miejsce prosi,
I by panu pomódz w biedzie,
Tysiąc groszy mu przynosi;
Pan dziękując wziął pieniądze,
Niemiec dalej puszcza żądze,
Odtąd myśli nocą, ranem,
Jakby włości zostać panem.
Dziedzicowi wciąż pożycza
I procenta mu dolicza.
Tak powoli się bogaci,
Póki włości pan nie straci,
Wtedy hytrze się uśmiecha,
Pana za drzwi wnet wypycha,
Sam na jego włości siada
I — Niemiec nią już włada.

Przytomny pan Mateusz.

— Nie dajcie się otumanić temu szachrajowi, nie kupujta krowy, krowisko chore...

— Co pan Mateusz wie? Zkąd pan Mateusz się zna? przecie pan jest siewc a nie witeryniarz?

— Ale na skórze się znam, a ta krowa już tylko na skórę jest przydatna.

?

Pytanie: Kiedy najlepiej ścinać drzewo?

Odpowiedź: Gdy Boruch je kupi.

Do młodego Jasia.

Oto, Jasiu, w czysty zeszyt
Upuściłeś żyda, —
Więc go skrobię, ale pomnij:
Niech się rada przyda...

Gdy czyściutką hypotekę
Odda papa tobie,
Strzeż się — żyda, bo gdy padnie,
Dyabeł nie wyskrobie.

*

— Jedźcie no prędzej Wojciechu, bo straszny mróz do stu dyabłów bierze.

— Niech się tam pan kupiec nie boją, dyabli złego nie biorą.

RACYA.

— Czemu to Wojciechu nie posyłacie dzieciaka do szkoły?

— A dyć nie bez co, jeno bez świnie, co ich niema komu paść,

— Wstydźcie się, tak mówić, czyż to wam świnia milsza niż dziecko.

— Milsa, nie milsa, ale widzi pan, przez nauki to człek żyć może, a przez okrasy to nie.

Przysługa za przysługę.

Sędzia: Macieju! jesteś obwiniony, żeś dopomagał Franciszkowi w spełnieniu kradzieży, czy to prawda?

Maciej: Bo proszę wielmożnego sędziego Franek pomagał mi przy pogrzebaniu mojej nieboszczki żony, to ja se pomyślałem, że jedna przysługa za drugą należy się...

?

Icek. Uważcie Macieju, raz zajrzę ino w butelkę i już nic niema.

Maciej. To tak jak z moją chałupą — razeście tam spojrzeli i już nic nie zostało.

Właściciel i wydawca Marcin Bidermann w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Antoni Lipiński w Poznaniu. Druk P. Krzyżankiewicza w Poznaniu.